

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 26 LISTOPADA 1927 ROKU

NR 48

TREŚĆ NUMERU: Wyspiański a terażniejszość — *Stefania Podhorka-Okołów*. Odpowiedzialność społeczna — *J. Y. Naród* a jego powstania i upadki — *M. H. Szpyrkówna*. Wiersze: „Scherzo jesienne” — *Lucyna Krzemieniecka*. „Lekeja w listopadzie” — *Sabina Raciążkówna*. Wspomnienia z roku 1831 na litwie — *Gabryela z Güntherów Puzynina*. Profesor (c. d.) — *Max Wit*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i R. C. H.* Z życia muzycznego — *P. L.* Z wydawnictw. Nie krzywdźmy naszych dzieci — *L. Gerlachowa*. Na marginesie 5-go zjazdu sekcji Kół Gospodyń w Częstochowie — *Wanda Borudzka*. Pielęgnacja rąk i nóg (dok.) — *Dr. J. Świtalska*. Kłopoty towarzyskie — *J. S.* Nasze bogactwo rybne — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Falbany i rieszki — *Well*. Nowoczesny motyw na siatce. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*. — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

WYSPIAŃSKI A TERAŻNIEJSZOŚĆ

W dwudziestą rocznicę zgonu.

Dwadzieścia lat minęło od dnia, gdy zamknął oczy nazawsze Wyspiański. Uniwersytecka młodzież, która szczątki jego odprowadzała z pochodniami na Skalkę, zdążyła przez ten czas dojrzeć, przeżyć w sobie tragedję „Wesela” i „Wyzwolenia”, okrzepnąć w ognjach Wielkiej Wojny, wysnuć z siebie Polskę; jednym słowem wieszcza dać mocny głos czynu, o wielu innych — zapomnieć...

To się odnosi do tego całego pokolenia, które wyrosło pod hypnozą poezji Wyspiańskiego z jednej, a w ostrem świetle piorunowych wypadków, rozdzierających mroczną chmurę przeznaczeń dziejowych, — z drugiej strony.

Trzeba było, zaiste, niezwyklej odporności, aby z tego ścierania się dwóch prądów, jak z pomiędzy dwóch młyńskich kamieni, wyjść nie inwalidą życiowym, ale zdrową, sypką mąką, gotową na wypiek jędrnego chleba Nowej Polski. Że niejedno ziarno rozwiało się obłoczkiem plew, że w niejednym więcej było ości, niż miazgi pożywnej, że trafiały się i takie, które zatruł sporysz nienawiści, — to prawda! Grunt w tem, że chleb wyszedł z pieca szczęśliwie, może trochę nieforemny, miejscami niedopieczony, ale bez zakalca.

I dzisiaj, kiedy dopełniły się tajemne wyroki, — z rozrzewnieniem, czcig, a nawet z pewnym zabobonnym lękiem myślimy o tym czarodzieju duszy polskiej, o tym czujnym młynarzu, co wpatrzony w nurt, rozbijający się na kole życia, — z bryzgów i piany sądził o głębi wód, o mocy prądów; sondował źródła

dalekie, wymierzał drogi do mórz nieznanych, — choć nie danem mu było dotknąć stawideł, kierowanych ręką przeznaczenia!

Dziś on spoczywa pod płytą grobową, a nurty podziemne, których istnienie zdradzała mu drżeniem magiczna różdżka natchnienia, wydostały się na powierzchnię, jako ślepa siła żywiołu, który ująć w tamy celowości, skierować w łóżysko państwowo-twórczej pracy może tylko wysiłek zbiorowy kilku pokoleń.

Wyspiański dokonał wobec współczesności swojej tego samego, co czyni nauczyciel mowy względem głuchoniemych: milczącym ustom dał głos. Położył dłonie tych ludzi na swojej piersi i gardle. Natężyli beczynne dotąd struny tchawic. Chrapliwe, dysonansowe dźwięki rozdarły ciszę. — Jakto? więc to ma być melodia naszych uczuć i myśli podświadomych? więc tak przez nas, pogrobowców, woła Polska! — Stanęli bezradni, niepewni i nieufni, oko w oko z rewelacyjną wizją „Wesela”. Jak skazaniec, po długim więzieniu wyprowadzony z ciemnicy, zachłysł się boleśnie powietrzem wyżyn. Szukano poomacku ideowego leit-motywu narodowej melodji Chochola, której autentyczności nikt nie mógł zaprzeczyć, chociaż niejednego kłuła ona w uszy. Przy mierzano się uporczywie do tego łoża Prokrusta, które tyle uświęconych przesądów skracało o głowę. Postawa społeczeństwa wobec tego zjawiska, jakim była twórczość Wyspiańskiego, nie mogła natrafić na właściwy pion. Szale wahały się między bezkry-

tycznym zachwytem, a instynktowną odrazą. I jeden, i druga były szczere i na wadze nieprzemijających wartości miały jednaki ciężar gatunkowy: motyla lekkość jednodniowej piany.

Nowe objawienia twórcze spłókały bezpowrotnie nagromadzony osad goryczy, który w ludziach dzisiejszych wywołuje pobłażliwy uśmiech niezrozumienia. Przywykliśmy, zaiste, do napojów stokroć mniej szlachetnych od tego wysoku skondensowanych trucizn, jakie twórca „Wyzwolenia” wydystylował z organizmu narodowego i poddał przyspieszonej fermentacji w aparacie poetyckim swego własnego pomysłu. Nie dziwny się, że ten eliksir bił ludziom do głowy świętem oburzeniem.

Organizm zareagował na próbną szczepionkę przyspieszonym tętnem i podniesioną temperaturą. Morze żółci, które z żarliwych stalówek, wyostrzonych na oselce nietykalnych autorytetów, zlało się na głowę Wyspiańskiego, było jego chrztem apostolskim. Świadczyło dowodniej, niż dymy kadzideł, że diagnoza jego była trafna. Nic tak nie boli, jak prawda. Dotknięcie ran było poczytane przez wielu za zniewagę. W zaślepieniu przeoczono fakt, że trzeba poznać chorobę, zanim się ją zacznie leczyć.

Wyspiański nie miał pretensji do szaczonej roli lekarza. Był jedynie poetą-jasnowidzem. Pod pleśnią mogilną, w rozsypujących się insygnjach mornarszych szukał tlejacej iskry życia. Pod sklepieniami Wawelu łowił uchem jemu tylko dosłyszalne stapania Króla-Ducha. Czuł, że nadchodzi chwila, kiedy te głązy ruszy coś więcej, niż wola twórczych objawień, i tłoczył go lęk, czy chwila ta zastanie nas gotowych do czynu, czy nie prześpiemy świtu, jak to uczynili weselnicy pod czarem chochołowego pienia.

Trawiony bolesną ciekawością, zaglądał pod czaszki żywych i znajdował w nich próchno świecące; sięgał po serca, a chwycił gąbki, nasiąkłe jadem, i wówczas to zapewne powstał w jego wyobraźni rozpaczliwy pomysł zasłonięcia okien katedry Wawelskiej witrażami koronowanych szkieletołów. Kościotrup, zaglądający przez każde okno, wielkość i bohaterstwo na wieki umarłe i złożone do grobu,—oto był najwyższy patos i bezgraniczny tragizm Wyspiańskiego-wieszczą,

Wyspiańskiego - pogrobowca, ostatniego romantyka Polski przedwojennej.

Pamiętam, na rok, może na dwa przed wybuchem wojny, na jednej z prywatnych scen warszawskich grano „Wesele,” okrutnie pookrawane przez moskiewskiego cenzora. Dość powiedzieć, że z całej przemowy Wernyhory do Gospodarza zostało jedno jedyne słowo: „Jutro!”

Niebaczny cenzorze! jakże złym byłeś psychologiem! Nie wiedziałeś, że to jedno słowo jest dla Polaka iskrą, rzuconą na prochy, żagwią bojową, którą wichur niesie od domu do domu i płomienne piętno przysięgi wypala na czołach!

Nie wiedziałeś, że w imię tego słowa całe pokolenia szły na śmierć i na wygnanie, że wrychle pójdą na bój, tym razem — zwyciężąc!

Nie wiedziałeś, że naród cały wierzy, iż to słowo przyjść musi, tak, jak przychodzi burza, że uderzy, jak pękający granat, że wybije, jak godzina od wieków zapisana na zegarze świata.

Dokonało się. Cud się ziścił. Zmieniło się oblicze świata. Po moście krwi i bagnietów przeszliśmy na drugą stronę prorocztw Wernyhory. Zamknęła się księga tęsknot, przeczuć, oczekiwań. Odkryła się biała karta teraźniejszości, którą nagwałt trzeba było zapisać czynami. Słowo „dzisiaj” zabrzmiało, jak komenda, jak nakaz moralny. W blasku tego słowa cień Wyspiańskiego wyrósł do rozmiarów Atlasa, na barkach swoich dźwigającego glob przeznaczeń dziejowych.

Lat dwadzieścia, to okres, w którym się zazwyczaj dokonywa częściowa bodaj likwidacja stosunku społeczeństwa do poety. Dla Wyspiańskiego ten okres nie ma znaczenia. Bilans rozrachunków naszych z tym błogosławionym rozrzutnikiem natchnień jest za ledwie otwarty. Musimy przewalutować wartość królewskiej spuścizny na monetę obiegową codziennych czynów. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy mieli bezcenny skarb rozmieniać na drobne. Ale musimy go udostępnić masom, tak, jak się udostępnia przeróżne świadczenia i przywileje, dawniej przyznawane tylko wybranym.

Musimy romantyczne słowo „Jutro!” zrównoważyć realnem słowem „Dzisiaj!” To jest nasz najpierwszy wobec pamięci Wyspiańskiego obowiązek.

Stefania Podhorska-Okołów.



ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOŁECZNA

III

Od stopnia odpowiedzialności moralnej ogółu zależy istotna wartość społeczeństwa, t. j. jego podłoże duchowe, które reguluje i podnosi obyczaje, tworzące najsilniejszą podstawę moralną w etyce społeczeństwa, spaja je w silną jedność obowiązującymi prawami moralności i sprzyja rozwinięciu się wyższej wewnętrznej kultury, po której linii społeczeństwo dążyć może do udoskonalenia.

Miło pomyśleć, jak wyglądałoby społeczeństwo, którego jednostki kierowałyby się silnym poczuciem odpowiedzialności moralnej; jak wyglądałyby wtedy: rząd, sejm, urzędy, wszelkie instytucje, wojsko, rodzina, życie towarzyskie i współżycie płci, kwestje humanitarne, i t. d., i t. d.

Kwestja odpowiedzialności moralnej wciska się wszędzie, obejmuje wszystkie dziedziny; w jednej tylko dziedzinie sztuki i czystej wiedzy jest nieproszonym gościem.

Sztuka, w istocie swej kosmopolityczna, wolna, nie podlega prawom, ani przepisom społecznym. Prawdziwemu zaś z Bożej łaski artyście, jako wyrazicielowi sztuki, przysługuje licencja. On tworzy, bo musi, i powinien tworzyć tak, jak musi. Artysta jest poza społeczeństwem, jakkolwiek może być swego społeczeństwa najwspanialszym wyrazem i najistotniejszym narodu swego genjuszem i inspiratorem, biorąc w siebie odpowiedzialność nawet za miliony. Lecz nikt mu dróg wyznaczać, nikt w ramy wtłaczać nie może. Drogi jego są tak niezbadane, jak niezbadaną jest istota iskry Bożej, która w nim rozetlała.

Możnaby powiedzieć, że tak, jak na pewnym niżu rozwoju, człowiek odpowiedzialnym być jeszcze nie może, wskutek swej nieświadomości, tak, z drugiej strony, na pewnym wyżu odpowiedzialności już nie podlega, wyzwalając niezbadaną podświadomość, która świadomość jego przewyższa i poza współdziałaniem jego woli się wyzwala.

Tak więc i żaden genjusz, pojawiający się na wyżu, w istocie swej twórczej odpowiedzialności podpadać nie może, tworząc z głębi podświadomości, wcielając niezbadane zapłodnienie z ducha.

Wezbrane siły duchowe, koncentrując się w pewnym momencie, szukają ujścia przez materję świadomą i wyżywają się w człowieku genialnym. To więc czyste „Słowo” genjusza, które się staje ciałem, jest obrazem powtarzającej się genezy z ducha i krytyce naszej dotąd się wymyka. Zaczynamy i możemy go sądzić dopiero na planie realizacyjnym jego idei, to jest w jego dziele. I tu, chcąc wybrnąć z zagadnienia odpowiedzialności, musimy przeprowadzić wyraźne różnice.

Artysta jest nieodpowiedzialny za to, np., że namalował taki, a nie inny obraz. Z chwilą, jednak, gdyby ten obraz narzucił społeczeństwu, jako świętość, której się należy cześć religijna, gdy chciałby zeń tworzyć godło narodowe, lub, popularyzując go w niezliczonych odbitkach, rzucać między lud, w ten sposób aklimatyzując ideę, nim wyrażoną,—rzecz prosta, że, jako realizator społeczny, już pod pręgierz odpowiedzialności dostać się musi.

Tak samo rzecz się ma z każdym tworzeniem genialnem, które realizuje się w czynie społecznym. „Słowo” genjusza, to jest jego absolutne dzieło, stworzone samo w sobie, jest nieodpowiedzialne; z chwilą realizacji w czynie, podchodzi już pod odpowiedzialność historyczną, czy moralną.

I tak np., genjusz militarny nie jest odpowiedzialny za stworzoną przez siebie ideę. Z chwilą, gdy wstępuje na plan realizacyjny swej idei, gdy w jej myśl zaczyna działać, przyjmuje odpowiedzialność historyczną.

Genjalny socjolog nie jest odpowiedzialny za swą koncepcję ideową, lecz szerząc ją w druku, to jest wkraczając w sferę działania wpływem tej idei na możliwą jej realizację w czynie zbiorowym,—podpada pod sąd odpowiedzialności historyczno- i moralno-społecznej.

I dalej: uczeni, idący po linii postępu ducha ludzkiego, badaniami swemi i dociekaniem torujący mu drogę do poznania, czy uchylenia bodaj rąbka niepoznawalnego, w opanowaniu sił przyrody, ułatwiający mu realizację,—byli, są i będą świetlanymi postaciami, przewodnikami najdodatniejszej odpowiedzialności. Twórcze odkrycia, wynalazki i badania wymagają niczem nieskrępowanej swobody działania i doświadczeń. Licencje muszą być przyznane, ofiary muszą być tolerowane. Lecz ciż sami uczeni dźwignąć muszą odpowiedzialność za ideologję, uczciwość i sumiennność badań i metod.

Historyk, który z jakichkolwiek powodów, choćby z szowinizmu narodowego, umiejętnie fałszuje historję, nie przynosi zaszczytu swemu społeczeństwu. Teza, wywracająca od jednego zamachu ustalone nieraz wiekami pewniki i doświadczenia całych pokoleń, choćby była genialnym błyskiem podświadomej intuicji, musi być poddana sumiennej analizie i sekcji krytycznego skalpela. Musi być również zakwestjonowana czystość ideologji uczonego. O ile kieruje nim w dociekaniach naukowych ukochanie wiedzy, rozpalającej na szczytach samotnych wyży pochodnie światła, i intencja służenia pochodowi ludzkości ku niezbanemu celowi,—nie pozostaje nic in-

nego, jak uchylić głowy przed wielkim poszukiwaczem. Za to, że ten i ów się pomyli, i rzuci nam snop zwodnego światła, winić go niepodobna; prometejskie wzloty i prometejska męczarnia pozostaną najwspanialszą tragedją człowieka.

Ambicja próżnej sławy, bez względu na korzyść, czy stratę społeczeństwa, chęć wywyższenia się osobistego na drogach lucyferycznej pychy, tak w tej, jak i w każdej innej dziedzinie, — pozostaną wartościami ujemnymi, które wzmagają odpowiedzialność człowieka.

Nie może być mowy o społeczeństwie silnem, zwartem, bogatym i kulturalnym tam, gdzie niema odpowiedniego materiału na jego budowę. Tym materiałem zaś, z którego społeczeństwo powstaje, jest jednostka społeczna — człowiek.

Dostarczenie społeczeństwu pierwszorzędnego materiału — oto zasadniczy obowiązek społeczny, od którego wypełnienia zawisły: siła i wytrwałość, rozwój i rozrost społeczeństwa. Pryncypialna odpowiedzialność moralno-społeczna spada więc na twórców i wychowawców jednostki.

Zaczepiamy z kolei o teren bardzo intensywniej, nigdy dość poważnie nie traktowanej odpowiedzialności, obejmującej całokształt wychowania człowieka, a sięgającej w głąb fundamentu naszego odrodzenia. Pod dział powyższy podciągnąć należy wychowawców wszelkiego typu, od rodziny, tej uznanej podwaliny i ostoi społeczeństw zaczynając, poprzez szkołę ludową i średnią, aż do najwyższych uniwersyteckich uczelni. Wiadomo: rodzina, to pierwowzór społeczeństwa. O ile więc daje mu rzeczywiście „pierwszy wzór”: przykład solidarności, zwartości, praworządności, współdzielczości i miłości, — o tyle współdziała w rozkwicie społeczeństwa, o tyle też jest jego fundamentem.

Odpowiedzialność za rodzinę spada na rodziców, to jest na rząd, trwający dotąd, dopóki jest w sile, głęboko za wykonywanie swej władzy odpowiedzialny. Lecz o tyle bardziej od politycznego rządu odpowiedzialny, że primo: partycypuje w najpierwotniejszej twórczości człowieka — secundo: że wychowuje indywidualną duszą człowieka, a więc najistotniej tworzy — tertio: że przygotowuje jednostkę, społecznie odpowiedzialną, to jest, urabia społeczny materiał.

Człowiek rodzi się pod odpowiedzialnością społeczno-moralną rodziców. Winni oni są potomstwu zakładowy kapitał życia: zdrowie fizyczne, nieobciążone złowrogami dziedzictwami — siłę odporności życiowej w wychowaniu moralnem i podstawę bytu materialnego w wykształceniu fachowem. Społeczeństwu oddać mają jednostki zdrowe, silne i pożyteczne.

Jeśli chodzi o rodzinę taką, jaka jest społeczeństwu potrzebna, to powiedzielibyśmy: rodzinę zakładającą mężczyznę i kobietę, łączący się na zasadzie bezinteresownej skłonności duchowo-fizycznej, z zało-

żeniem, że ani mężczyzna dla kobiety, ani kobieta dla mężczyzny, lecz oboje stworzeni są dla trzeciego, to jest dla dziecka. Zwalczanie egoizmu w imię dobra potomstwa, jest to najprostsze rozwiązanie problemu małżeństwa, rozwiązanie, od którego odbiegliśmy, niestety, daleko. Mężczyzna, którego celem jest posiadanie kobiety, kobieta, której celem jest ujarzmienie i wyzyskanie mężczyzny, — mogą być tylko wstecznym czynnikiem społecznym.

I oto poraz pierwszy w tym szkicu wprowadzamy kobietę w szranki odpowiedzialności. Pragnęlibyśmy szczerze zrobić jej miejsce na wyżynach. Wierzymy bowiem, że istnieje geniusz macierzyństwa, podświadomością swą sięgający w najwyższy rejony objawień twórczych, wcielający wtajemniczone słowo porozumienia między duchem, a materją, łączący istotę życia z jego przejawem. Lecz kobieta nie wie, nie chce wiedzieć, czym jest. Niechaj więc weźmie na siebie odpowiedzialność, jeśli geniuszu swego nie wyzwala i więzi go w ramach ciasnej, małej, poziomej duszy. Genjalne macierzyństwo potrzebne jest społeczeństwu tak, jak potrzebnymi mu są genialni twórcy, wyzwalaający ducha narodu. Najgłębsza prawda odpowiedzialności kobiety streszcza się właściwie w odpowiedzialności matki, w odpowiedzialności bezwzględnej. We współżyciu płci, w stosunku do mężczyzny zależna jest od wielu warunków. Wzajemna odpowiedzialność płci jest względna, wahająca się między tylu psychofizycznymi subtelnościami, że trudno ująć ją w schemat. Pozytywnie zaznacza się we wzajemnej odpowiedzialności rodziców względem dziecka i we wzajemnem poszanowaniu człowieka w człowieku *).

Głęboki symbol tradycji świętych ksiąg o upadku człowieka obarcza brzemienną dla ludzkości odpowiedzialnością żeński pierwiastek, ściągający pierwiastek męski z wyżyn ducha. Lecz będzie powiedziane: Kiedyś przez zapłodnienie z ducha wydzwignie go znów dziewiczem macierzyństwem w wyżyny.

Transponując te prastare, głębokie symbole ludzkości na wartości społeczne nowych czasów, powiedzmy, że kobieta, jako czynnik atrakcyjny, równie dobrze może być czynnikiem wstecznym, jak i postępowym, zależnie od tego, ku czemu siły swej atrakcyjnej użyje i gdzie dla siebie poszuka punktu oparcia.

Może we współżyciu płci mężczyznę obniżać, lub wzwyż pociągać; może w wysokim stopniu działać tak na obniżenie, jak i na podniesienie poziomu kulturalno-obyczajowego i duchowo-intelektualnego społeczeństwa — lecz przedewszystkiem odrodzić może społeczeństwo przez macierzyństwo. Odpowiedzialność

*) Najskrajniejszym, hańbiącą plamą na społeczeństwie znaczącem się zjawiskiem poniżenia człowieka przez człowieka i poniżenia człowieka przez sankcję państwa — jest monstrum prostytucji za której tolerowanie wstydziliby się powinna prymitywna nawet kultura jednostek i społeczeństw.

jej jest zatem bardzo wysoka i wielkiej społecznej wagi. Nie wspominamy wcale o odpowiedzialności kobiet w rozmaitych dziedzinach społecznego życia. Rozumie się samo przez się, że, obejmując jakieś stanowisko społeczne, czy zawód, przyjmuje na siebie odpowiedzialność przystosowaną do stanowiska. Konieczności socjalne, t. zw. emancypacji kobiet uwzględnić musimy; lecz czy społeczeństwo dążyć nie powinno do zniwelowania tych konieczności, aby kobiecie ułatwić przyjęcie odpowiedzialności za jej kobiecość

i rozwinięcie tych odrębności psychicznych płci, które, jako dopełnienie i równoważnik drugiej, są dla pełnego rozwoju obydwóch potrzebne?

Nie możemy nie poruszyć, choć mimochodem, odpowiedzialności, jaką ma kobieta polska. Jest ona tak bogato wyposażona, jako typ narodowy, taką bohaterką dostojnością duszy zapisana w historii, takim majestatem duchowej organizacji obdarzona — że zatracenie tego wysokiego typu obarczyłoby ją szczególną odpowiedzialnością.



M. H. SZPYRKÓWNA

NARÓD A JEGO POWSTANIA I UPADKI

...Polska jest ziemią zdarzeń cudownych. Po jej zagonach chodzili aniołowie, święci, genjusze i bohaterowie. Ona jest miejscem dziwnym na skrzyżowaniu wszystkich dróg.

Polska jest sercem, udęczanem stokrotnie, mężnem, rozradowanem, rwącym się do wszechmiłości, zapatrzonem w słońce Chrystusowe. Jest Marią w rodzinie narodów, niegospodarną i niepraktyczną; siostry-Marty naokół nie rozumieją jej.

Archanioł, który patrzy w głębie jej mocy, prowadzi ją, popędliwą i namiętą, na wyżyny strome, pełne błyskawic i wichrów; popycha ją ku wulkanom, pędzi na pustynie, by tam w przerażeniach i zachwytach, w obliczu gwiazd, ujrzała chwałę Bożą; hartuje w sławie i upadkach sromotnych — dziejami jej przeorywa sumienie narodów.

(M. K. Wołowski). *)

Tragiczne dzieje podzaborowe wyrobiły w nas złe i dobre strony, a w każdym razie — wyrobiły pewne nawyki. Człowiek, który wdrożony był, dla celowej pracy, wyrzucać co czas jakiś prawą rękę dogóry — będzie to czynił i potem, kiedy celowość już przestanie go do tego powoływać: przeszła w nawyk, i ruch stał się niejako automatyczny. Człowiek, który pracował przez lata pod wielką presją, nie zdoła otrząsnąć się od razu i na wolności od pewnych metod zaczajonych; pielęgniarzka będzie i poza szpitalem chodziła w sposób zupełnie inny, niż ludzie, obcujący ze zdrowymi: w zwykłym środowisku po jakimś czasie od tegoby się odzwyczaiła, ale — po jakimś czasie. Przyjęcie żywej woli, żywego organizmu narodu w jakimkolwiek sprzecznym z jego normalnym rozwojem

kierunku wywołuje w narodzie odruch sprzeciwu, wyrażony w odpowiednim odprężeniu się, tem silniejszym, im nacisk był większy. A ponieważ wiele set lat byliśmy uciskani, bądź przez zdecydowanie zewnętrzna przemoc, bądź przez uzurpatorów władzy wewnątrz kraju, ugniatających resztę społeczeństwa: wytworzył się w nas, polakach, odruch sprzeciwu, który tak długo i tak słusznie musiał się przeciwstawiać złemu, że nawet gdy złe, zdawałoby się, minęło: pozostała nam szczególna pobudliwość na odruchy rokoszowe — niejako czujność konia kawalerskiego na emeryturze, który pilnie strzyże uchem, czy skąd nie zagra znana pobudka na bój?...

W czasach podzaborowych ta gotowość stanąć pod bronią na każde hasło, o ile mu przyświecało wielkie słowo: — Ojczyzna! — nosiła, i słusznie, wszelkie cechy bohaterstwa. Natomiast walkę w każdym państwie już wolnem, należy zaliczyć raczej do zautomatyzowanych długoletnim nawykiem odruchów duchowego organizmu narodu, który wciąż jeszcze reaguje dawnym sposobem na konflikty, w innej już rozgrywającej się płaszczyźnie. To znaczy, że jest nadal pobudliwy na hasła, żyjące tradycją dawnych bohaterskich odruchów.

Nie można powiedzieć, aby co czas jakiś wstrząsy wewnętrzne i wspomagane orężem nie były praktykowane — weźmy bodaj Mussoliniego i Włochy. Nie można też powiedzieć, aby zawsze dało się zdobyć, w drodze parlamentarnej tylko, pewne drogi rozwojowe, konieczne dla postępu narodu. Ale pamiętajmy na przyszłość, że Polska jest za świeżo powstałym państwem, za drogą okupiła prawo własnego sztandaru i oręza, aby ten sztandar i oręż zwracać przeciwko samej sobie. „Oto rozdzieliło się królestwo ich:

*) „Antropozofia i jej przeciwnicy w Polsce.

teraz pogina!...—wołał kiedyś natchniony kaznodzieja wojujących panów, Skarga. Za niedawnośmy się złączyli, aby własnowolnie rozdzielać: za świeże jeszcze są nasze blizny po walce z istotnymi ciemiężcami, abyśmy znowu krajali ciało ziemi! Pogłębiane szczyby mogą sprowadzić rozłam: muszą sprowadzić rozłam! A chyba nie do tego dążymy i nie poto walczyliśmy tyle set lat o zmartwychwstanie kraju, żeby go znowu rozdzielać.

I oto zdaje mi się, że obok tradycji bohaterskiej, przywiązanej do pamięci naszych rocznic powstańczych: powinniśmy zrobić z nich już dzisiaj raczej wielkie „Memento“ pokoju. Minęły burze i nastał okres pracy pokojowej: minęły powody rozdziałów i najwyższy czas przekuć miecze na lemiesze i odruchy bojowe skierować na pracę organizacyjną. „Zmartwychwstanie—jest to praca skupienia rozproszonych cząstek ciała“ — uczą księgi perskie. Jeżeli nie możemy tego przyjąć, jako dogmatu dla ducha, jakże znakomicie wyraża nasze zadania najbliższe w sensie życiowym! W każdą rocznicę powstania szkołom i młodzieży, stowarzyszeniom robotniczym i związkom, należałoby przypominać, że dnia tego olbrzymiem bohaterstwem, krwawą ofiarą naród powstał przeciw zaborcom pod hasłem: Zjednoczenie rozproszonych, ba! rozdartych przez sępie dzioby zaborów części kraju. Że powstawał tak długo, aż słowo stało się ciałem i sprawiedliwość dziejowa wróciła nam zjednoczony kraj: a odtąd naszym wkładem do ofiary powstańczej, naszym w niej udziałem, przedłużeniem ich bohaterstwa z naszej strony: będzie już nie wojna, ale pokój; nie rokosz, ale praca; nie rozdziały, ale zjednoczenia.

Zmartwychwstanie, jest to praca! Pamiętajmy o tem. Minał dla nas — i, daj Boże, na długo — czas, kiedyśmy musieli wskreszać Polskę orężem: tak jak nie przez cały rok przecież rolnik kraje ziemię pługiem: przyjdzie chwila, że musi zasiać ziarno, jeżeli chce mieć plon.

Dziś nareszcie — nareszcie tradycyjna Polska Piastów i rolników przychodzi niejako do zdrowia: dziś, po długich stuleciach, wolno nam zapomnieć o karabeli pradziadów!

Dziś rozsądkiem jest rozważyć dobrze odruch automatycznie jeszcze dość skory w nas do reakcji, z chwilą, gdy taką, czy inną pobudką zagra do boju! I nic dziwnego: najpiękniejsze odruchy nasze są z konieczności związane z szumem sztandarów i błyskiem srebrnej szabli — o milczącym krzyżu rękojęści. Czy

krzyż jednak był zawsze szczęśliwy, uczestnicząc w krwawej rzezi człowieka z człowiekiem, jakkolwiek była barwa narodowa?... Wątpliwe!

I na szczęście, dochodzą już do głosu w wielkim salonie narodów ekscentryczne narazie i napózór utopijne—ligi powszechnego pokoju i krzewienia chrześcijaństwa. Krzewienie chrześcijaństwa! Czyż nie zabawny paradoks dziś, w dwa tysiące lat po śmierci Chrystusa i rozpowszechnieniu wiary po obliczu ziemi? A jednak, widocznie, nie! Widocznie wprowadzać je trzeba nadal! Albo może inną musi być droga wprowadzania idei, jakkolwiekby była: — nie przez miecz i krew, nie przez przemoc i presję moralną — tylko drogą odpowiedniego rozwoju, dorastania niejako istotnego ludzkości do wzoru teoretycznego, nakreślonego przed dwoma tysiącami lat, a który i do dziś tak często w narodach i jednostkach jest tylko i wyłącznie teorią?

I oto, z ewolucją dziejów naszych, ze zwrotem ku duchowi, fermentującemu jedną część ludzkości tem głębiej, im krwawiej walczy mieczem i ogniem druga: z tą chwilą musimy zmienić i my nasze świętowanie świętych istotnie rocznic. Więcej pracy organizacyjnej na polu oświaty, przemysłu, nauki, wszelkiego budownictwa kraju — więcej braterstwa społecznego warstw i jednostek — mniej zacieklego partyjnictwa! Zacieklego tak dalece, że nawet słowo o tych dezyderatach — które jednak, niewątpliwie, staną się ciałem, jak wszystko, co w dążeniu jest zapoczątkowane,—że nawet samo słowo o tem jest zawsze powodem szykany i żółci dla wielu, w jakikolwiekby to ubrali kształt.

A jednak, to są nakazy naszych rocznic pozmartwychwstańczych, jak mamy rocznice przedpowstańcze! A jednak, ten dorobek pokojowy i organizacyjny musimy przekazać jutru — dorobek zasiewu, jak wczoraj przekazało nam tylko skrwawioną, pod uprawę gotową glebę.

I sądzę, że chwalebnej epoce powstań należy wystawić w myśli, czy w czynie pomnik wiekuistej pamięci i chwały — ale siły narodu, ale jego poryw do bohaterstwa i ofiary skierować w nowe już łóżysko organizacyjnej, wyteżonej pracy, tej pracy, której bohaterstwem będzie wytrwałość w najcięższej opozycji warunków, a ofiarą — milczące, codzienne lutowanie, spajanie i jednoczenie tego, co wieki podzaborowej psychologii uczyniły w nas zgrzytem, rozdziałem i rokoshem.



LUCYNA KRZEMIENIECKA

SCHERZO JESIENNE

Rotonda prababki jesieni, płomienna — szarzeje pomału.
 Deszcz kołysanką cichą szeleści na harfach kałuż.
 Orzeźwia się moja tęsknota w oazach brudnych podwórek.
 Prawią mi baśnie zakłète liście, więdnące pod murem.
 Na szarym końcu myśli, zatęchły pokoik wykwiła.
 Smutny, jak książka pożółkła, której nikt nigdy nie czytał.
 Jest klatka z kanarkiem, komoda i kilka pstrych malowanek.
 Są brzydkie usta kobiece, nigdy niecałowane.
 Królestwo rąk spracowanych i modlitw dziwnie upartych.
 Tasuje ktoś dni wyswiechtane, jak stare, pożółkłe karty,
 Codziennie posępna jesień. Codziennie te same ściany,
 Codzienny ból, mocnym ściegiem w dzień i w noc whaftowany.
 Rotonda prababki jesieni, płomienna — szarzeje pomału.
 Deszcz kołysanką cichą szeleści na harfach kałuż.

SABINA RACIAŻKÓWNA

LEKCJA W LISTOPADZIE

Niema barw, ani światła, niema nieba, ni ziemi.
 Chory smutek miedzami wlecze się szaremi.
 Niema kształtów, ni cieni: jedna mętna plama...
 „Wskaż Japonję na mapie... Tokio, Jokahama...
 Domki zwą się p a g o d y. Nagasaki, Kioto...
 A w pagodach Japonki grywają na „koto“...
 Wiśni płatki kwitnące, lotosy różane,
 Motyle jednodniowe, w wodę postręcane...
 Pomarańcze pachnące, astry, chryzantemy...”

Niema barw, ani światła, nieba, ani ziemi.



GABRIELA Z GÜNTHERÓW PUZYNIŃA

WSPOMNIENIA Z ROKU 1831 NA LITWIE *)

...Pamiętna data! wyryła się ona głęboko w sercu, w duszy, w pamięci tych szczególnie, co ją witali, jako erę nową, a dziś wspominają, jako hasło ruiny, jako przebudzenie z letargu na to, by zapasć w letarg trzydziestoletni!

Cóż pisać o roku 1831, gdy już Mochnacki wypowiedział tę opinię, Straszewicz ilustrował ją w portretach, a tyle piosenek wyśpiewało? Śpiewaliśmy i my w zakątku naszym zawilejskim mazurka Skrzyneckiego. Z Wilna dochodziło, że Uniwersytet się znosi, że starego Korsakowa odwołano do Petersburga w senatory, a na jego miejsce przysłano srogiego Chrapowickiego, którego nazwisko polskie było ironją. Ale wiosna, wiosna zapowiadała drugi rok 1812. Za lada wiadomością z Warszawy ccoz śmieiej i głośnieiej mówiono o nadziejach. Pan Adolf (Święcicki) i przyszedł autor „Obrazów Wileńskich” z krewniakiem Mackiewiczem, pełni animuszu, zajeżdżali do nas w drodze do Święcian, gdzie mieli coś organizować...

Tegoż roku wiosną ukazała się u nas pierwsza moneta polska, łącząca na sobie Pogoń obok Orła. Była to prosta dziesięciórka, a witaliśmy ją ze łzami, całując, jak relikwię, bo ją zrodziły grosz wdowi, obrączka ślubna i godło pracy, naparstek szwaczek.

Pod hasłem dziesięciórki, to jest pod jej godłem, podnosiły się umysły. W każdym dworze zbierano włościan, namawiając ich do powstania. W kuźniach kuły się piki, w salonach robiły się szarpie i nie drzemano nigdzie. W Święcianach był już rząd nasz w miejscu załogi żołnierzy, która cichutko ustąpiła naszym. W Wilejskim Stanisław Radziszewski, w Oszmiańskim Porfiry Ważyński, stając na czele powstania, zbierali ochotników. Karolowi Przeddzieckiemu przypomniła się kresa z pod Lipska; zapomniał, że mu odtąd przybyło półtora krzyżyka, wdział mundur, a wybierając się do Oszmiany, gdzie go wodzem mieli ogłosić, nie chcąc ani smucić żony, ani jej zostawić za sobą, wmówiwszy jej, że chce tylko należeć do rady cywilnej,—wysłał ją do Dobrowlan. I pewnego wieczora marcowego zawitała do nas pani Kornelja, z oczami więcej, niż kiedy, przestraszonymi, w towarzystwie pani z Bokszańskich Mikułowiczowej, żony nadwornego lekarza Smorgoń, która pod sekretem na ucho każdej z nas wypowiedziała całą prawdę i rzetelny powód wyjazdu pani Hrabiny, to jest determinację pana Pułkownika stanięcia na czele powiatu, jako jedynego w nim, co znał wojenną taktykę. Jakkolwiek uspokojona przez męża, pocziwa pani Kornelja czuła sercem, że przed nią kłamano, i myślą niespokojną, kręcąc się w kole domysłów, po sto razy na

dzień zapytywała nas: „Jak myślicie, czy będzie pokój? czy nie będzie krwi?” A niezaspokojona naszą odpowiedzią, dodawała jakby do siebie: „Sam nie wytrzymał! On pójdzie! Widziałam, gdy włożył mundur, jak mu się oczy świeciły”... a spuszczać głos, szeptała: *Il a déjà 50 ans! oui, il a 50 ans...* ale się do tego nie przyzna i pójdzie!“ „Czy pójdzie?” — zapytywała nagle: „On mówił mi, że będzie w cywilności, ale ja mu nie wierzę!“ — I biedna kobieta zamyślała się, wzdychała i zasypiała z tym niepokojem, by, ocknąwszy się, pytać znowu o to samo. Trzeba było przed nią kryć wiadomości, gradem zewsząd sypiące się różnemi drogami; a nie wszystkie były wesołe, bo z końcem kwietnia ukazało się wojsko rosyjskie.

W Smorgoniach ułani, a w Oszmianie Czerkiesy, przysłani przez Chrapowickiego, wyrzynali mieszkańców i lud śpiący! Od Oszmiany do Dobrowlan mil siedem, a słyhać było u nas głuchy huk, idący zdaleka, jakby grzmotów, i niebawem doszły straszne wieści o zabójstwach, rabunkach, o wyrzynaniu kobiet, dzieci i starców, chowających się w kościele i pod kościołem, o rozsiekaniu doktora Zakrzewskiego i t. d. Niejeden epizod oszmiański przypominał oblężenie Jerozolimy, jak np. w starca, błagającego o ocalenie wnuka, kirgiz strzelił, mówiąc: „Ty czestnyj staryczok!“ Jak wychodzącemu z dzieckiem nowonarodzonem na rękę odebrano dziecko, by swobodniej strzelać do ojca w oczach chorej żony, i t. p. Na drodze kozacy napadali podróżnych, obdzierali kobiety, wykręcając im palce dla zdobycia pierścionka, a trupy wpół żywe rzucając w fosę. Kilkanaście takich ofiar, które już miano zasypywać, wzięła pod swoją opiekę i odpowiedzialność żydówka kramnica Hana, której córka Baśka trzyma dotąd traktier w Oszmianie, a że się jej dobrze powodzi, przypisać to należy głównie błogosławieństwu Bożemu za uczciwość i ludzkość jej matki.

Tymczasem pułkownik Przeddziecki, zostawiając swe piękne Smorgonie na pastwę mściwego wroga, musiał sam uciekać i bocznemi drogami przebiegał się, by dopaść do będącego na Żmudzi korpusu Dembińskiego. Mój ojciec uwiadomiony czekał go nad

*) Jest to rozdział z obszernych, nieznanych pamiętników, których tom pierwszy ukaże się wkrótce, p. t. „W Wilnie i we dworach litewskich 1815—1843” w opracowaniu pp. Adama Czartkowskiego i Henryka Mościckiego, a nakładem Księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

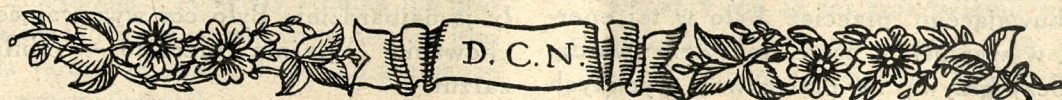
Prosta, szczerza opowieść o przeżyciach autorki, przebywającej w tym czasie w Dobrowlanach, posiadłości jej rodziców, w Święciańskim, odtwarza bardzo żywo nastroje ziemiaństwa polskiego na Litwie w okresie powstania listopadowego.

brzegiem jeziora Świrskiego: tam, na kamieniu usiadłszy, żegnali się przyjaciele i kuzynowie, by się już nigdy nie zobaczyć! Nie wiedziała o tem spotkaniu biedna żona, ani można było powtórzyć jej pożegnań małżonka, który ją ojcu memu nanowo powierzył. Lecz po zniknięciu męża żona nie mogła być bezpieczną; dochodziły wieści, że mają jej szukać u nas, by od niej o mężu się dowiedzieć, lub nad żoną za męża się pomścić. Uradzono zatem przewieźć biedną kobietę dalej. Nie łatwo było, tając prawdę, skłonić ją do oddalenia się od miejsca, w którym wyobrażała sobie bliżej samego. Ale otrzymano to nareszcie, i w ostatnich dniach kwietnia była już w drodze w Dziśnieńskie do majątku mojej matki, Ihumenowa, gdzie towarzyszył jej poczciwy nasz Bachmatowicz, zawsze w podobnych chwilach gotów i ochoczy.

I dobrze się stało, bo po drugiej nocy wschodzące słońce okazało potrzykroć otoczony nasz dwór i ogród konnicą, a major z dwoma oficerami wjeżdżał w dziedziniec na czele dwustu ułanów, by się domagać o wydanie żony pułkownika Przeddzieckiego. Spałam w najlepsze w pokoju mamy, gdy weszła moja

siostra Ida z tą wieścią, przygotowując nas z wolna do tych niespodzianych odwiedzin. Usiadła przy łóżku mamy, a zapytana: „Czego tak rano wstała”? — odpowiada spokojnie, że mamy gości i że ci piją herbatę u papy. W rzeczy samej pan major zachował się grzecznie, a na słowo mego ojca: „że pani hrabina Przeddziecka była, ale już jej niema”, nie chciał nawet po wszystkich płądować pokojach, zwiedziwszy tylko piwnice i część domu. Ułani tymczasem stali na swem stanowisku za ogrodem i w ogrodzie, pilnując, aby nikt nie uciekał. Było nawet mniemanie, że sam pułkownik Przeddziecki ukrywa się w Dobrowlanach. Spokojny dotąd dwór zamienił się w teatr wojny. Każdemu chciało się opowiadać swoją przygodę po odjeździe oddziału, bo niemal każdy z dwor-nych, pomimo dowodów tchórzostwa, chciał po przejściu niebezpieczeństwa uchodzić za bohatera.

Te opowiadania, to ranne wstanie, to podniecenie umysłu i przejście z trwogi do wesołości wpłynęły na zdrowie już i tak nerwowej ldy, która śmiechem serdecznym, a nareszcie febrą opłacała chwilową odwagę.



MAX WIT

4

PROFESOR

Słyszała zato energiczny głos Jeżowicza:

— Wody Nilowe, profesorze, to kopalnia mikrofauny, modląc się o porządne opracowanie! Opracowywano, opisywano, a przecież to bzdury — drobnotki. Wracam, jak mi Bóg miły! wracam w przyszłym roku! W górę rzeki, w górę! Zachowanie się planaryj zimnowodnych przedewszystkiem. Przywiozłem parę okazów, złe wprawdzie utrwalone: warunki i środki miałem paskudne, ale to się poprawi.

Słyszała szelest przerzucanych kartek, widocznie przeglądał rozprawę:

— Już widzę, że na wykończeniu — dodał poważnie, — ale będzie z tego niezgorszy tomik — syzyfowe trudy. A rysunki, fi, fil co za ku...

Zdecydowała wreszcie i stanęła w pracowni. W kremowym kostjumie, z naręczem białych bzów i w białym kapeluszu. była młodsza i świeższa, niż zwykle.

Na szczęście, Jeżowicz siedział odwrócony do drzwi plecami. Profesor skinął jej głową i podniósł się, wbrew zwyczajowi.

— Dzieńdobry pan! mamy syna marnotrawnego. Doktorze! przedstawiam ci moją rysowniczkę, pannę..... — zatrzymał się zakłopotany.

— Jadwigę — szepnęła.

— Jadwigę — powtórzył, — jej właśnie rysunki podziwiasz w tej chwili.

Niewymowne zdziwienie zarysowało się w spalonej na miedź twarzy doktora. Przyjrzał się Jadwidze i mimowoli podniósł wzrok na śmiejące się, wyblakłe oczy profesora, który, o bogu! mrugał filuternie w stronę asystenta.

Jeżowicz uściśnął dłoń Jadwigi:

— Przypominam sobie: w zeszłym roku chodziła pani na ćwiczenia, które prowadziłem. Nazwałem ją „Mruczek”. Mam zwyczaj nadawania przydomków. Nie powiem, by pani zbyt sympatycznie na mnie spoglądała.

— Ach! pamięta pan? — roześmiała się dzwicznie, — ten przydomek nie był słuszny.

— Widzę: jeśli pani zdobyła profesora, powinna się pani nazywać Wiktorja Regina.

— Już zaczynasz?!—przerwał—profesor. Proszę go nie słuchać, przywykł zwracać kobietom głowy; zaczyna pleść swoje bzdury. Żeby to uczonemu biologowi takie wiatry po głowie chodziły, to aż dziw,—zrzędził po ojcowsku.

— Samumy — poprawił Jeżowicz,

— Słowa bez znaczenia,—dodała rezolutnie, umieszczając kwiaty w wazonie i poprawiając zwykłym, nieznacznym ruchem nieposłuszne włosy.

Jeżowicz śledził, filtrował jej ruchy z uwagą przywykłego do obserwacji eksperymentatora. Błądził oczyma po całej postaci, wreszcie zdecydował: śliczna!

— No, nie przeszkadzam—rzucił—idę do siebie. Przedewszystkiem rozpakować, potem spać.

Profesor po ojcowsku patrzył za nim. Syn jego myśli, spadkobierca wiedzy, był bliższy od syna krwi. Szkoda tylko, że taki lekkoduch zwietrzony.

Zebrał korespondencję i usadowił się w fotelu przy oknie; nie czytał, ale, wpatrzony w kołyszące się cicho gałęzie bzów, zamyślił się tą chwilową zadumą, w której się staje na pograniczu złudzenia i realjów.

Jadwiga otworzyła album Jeżowicza, pełny fotografii zwierząt, kości, ruin, widoków i jego własnych. Tak, coś przykuwającego przecież było w tej energicznej twarzy, w wyniosłym czole, zakrytem twardą, spadającą na oczy grzywą i w przedziwnie wyciętych zmysłowych ustach. Coś drażniącego, magnetycznego w spojrzeniu niebieskich, czy też szarych mądrych oczu. A kostjum tropikalny dodawał całej postaci wiele siły i męskości.

— Uczony drapieźca—określiła krótko i odłożyła album.—Jednak zazdrościć mu można. Ledwie trzydzieści lat, a tyle już zdziałał! dwie większe prace naukowe, kilkanaście mniejszych rozpraw, dwie podróże do Afryki, trzecia projektowana; szacunek profesorów całego wydziału i powodzenie u kobiet — szczęściarz!—myślała. Dziwiło ją tylko, że niema w niej niechęci do srok, jak nazywała wdzięczące się do Jeżowicza koleżanki.

— Jest w nim coś. Wiedza, młodość i męskość. Cóż można żądać więcej od mężczyzny? Nic... chyba miłości. — Złękła się tej myśli. Bolesnie ukłuło ją w piersi.

VI.

Pracowała gorączkowo, starannie, niż zwykle. Czelowała i wykańczała ostatnie rysunki. Za ścianą w gabinecie Jeżowicza ruch nieustanny: wnoszono paki, ustawiano, wynoszono; brzęk szkła i głęboki ton obsuwających się skrzyń—przesuwanych i wynoszonych. Poprzez drzwi przywołał profesora:

— Profesorze! oto moje planarje, proszę. Teraz wyjmuję.

Co chwila wpadał z jakimś słoikiem i pchał go profesorowi pod nos, strzelając terminami, rzucając cyfry, opisy, spostrzeżenia. Mimochodem zerknął na wykańczane rysunki i pogwizdywał z uznaniem:

— Fiu, fiu! panno Jadwigo, majster z panil!

Było coś drażniącego i żartobliwego w tem uznaniu. Oblewał ją gorący rumieniec; pochylała się w milczeniu nad mikroskopem i nienawidziła go.

— Zarozumialec!

Gdy rozmawiał z profesorem, śledziła ukradkiem muskularne ręce z zawiniętymi rękawami, w których manipulował szybko i wprawnie pincetami, rozciągając pod słońce przezroczystego zupełnie robaka. Złościło ją jego spojrzenie, którem obejmował kawałek przezroczystej masy. Powaga i skupienie spychały gdzieś uśmiech z ust; gruba poprzeczna żyła wypinała się pod skórą czoła; oczy zdawały się przebijać nawylot oglądane zwierzę, w którym się cały koncentrował. W tej chwili świat nagle malał i zamykał się w drobnym, przezroczystym robaku.

— Uczony!

Ten szacunek dla jakiegoś tem robaka i pobłażliwe lekceważenie, zaprawione ironją,—dla niej, bolały ją najbardziej. Było coś wyzywającego w jego zachowaniu: Właśnie przez to — robiła mu przykry zarzut.

— Pozer, kabotyn! udaje, że nadewszystko kocha naukę, jakby nie wiedziała o tem, że romansował z trzema studentkami naraz, i podobno... — Znowu rumieniec spalił jej policzki: — To była nieprawda, taki nie był; wszystko, co opowiadano o uwiedzeniu Zosi R.—wierutna bujda. Ot, wystąpiła z uniwersytetu i wróciła na wieś, bo matka zachorowała, i tyle.

Starła się o tem nie myśleć; cóż ją to zresztą mogło obchodzić?

— Nie mój koń, nie mój wóz!—powtarzała cicho. To powiedzenie poprawiło jej humor.

Popołudniu, zaledwie profesor wyszedł na obiad, Jeżowicz wsunął się do pracowni.

— Nie przeszkadzam, chyba?

— Zupełnie.

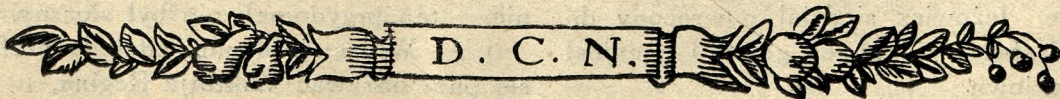
Przysunął sobie fotel i siadł naprzeciw.

Milczenie. Przyglądał się z uwagą jej pracy. Z twarzy zniknął zdawkowy uśmiech, zasnuł ją cień skupienia.

— Świetnie! — wymruczał do siebie— precyzja mikrofotograficzna. Sam rysuję nieźle, ale jestem marnym gryzmołą w zestawieniu z paninym kunsztem.

— Czy to komplement dla kobiety, czy uznanie dla wysiłku?

Patrzyła mu wprost w twarz szerokiemi oczyma. Wytrzymał spojrzenie i, zmrużywszy nieznacznie jedno oko, odrzucił poważnie:



W. MIŁASZEWSKA

21

KACZĘTA

(powieść)

— Co cioci? — wołał Tomek i trząsł mię za ramiona — co cioci znowu? A może ciocia wiadomość jaką dostała? To niechże nas ciocia nie męczy i prędko powie...

Ale głosu wydobyć nie mogłam. Tylko mu pokazałam oczami list, co na stole leżał. Rzucili się do czytania, jedno drugiemu przez ramię... Adelka zaczęła pierwsza wołać:

— Zuch z tego Marka! Bohater! To on do Lwowa uciekł! No, no! I cóż wy na to?!

A potem, w chwilę potem zaczęli się kłócić na dobre. Jak ich tylko strach o Marka odleciał, dogadywali sobie wzajemnie. Adelka ujęła się za Markiem, że dobrze zrobił, bo tam we Lwowie każde ręce teraz potrzebne. Teofil krzychał: „Co to za ręce! Karabinu nawet nie utrzymają...” A wtedy Adelka już prosto na Tomasza nasadła: że wstyd, że hańba, że Marek honor domu ratuje za takich braci, co pieniądze robią, zamiast ojczyzny bronić...

(Strasza się ostatnimi czasy zrobiła patryotka z Adelki!)

I tak się może z godzinę żarli o Marka, a ja tymczasem zabrałam list i wyszłam z tego pokoju, bo już nie mogłam wytrzymać. Wiedziałam tylko jedno, że Marek żyje, że jest w tej chwili we Lwowie, że może głodny, a już napewno zziębnięty... Na świecie była plucha straszna, taka grudniowa plucha, co to i deszcz ze śniegiem, i wiatr prościuteńko w oczy, przebijający do kości...

Usiadłam sobie w kącie przy lampie i znów czytałam ten list. Przeczytałam go wtedy może dwadzieścia razy... może sto... czy to się da policzyć? Czytałam go dopóty, aż się każdziutka literka wbiła w pamięć:

„Ciociu najdroższa! — pisał Mareczek — ciocia napewno będzie się gniewać na mnie i martwić — i to mnie boli. Ale ja inaczej nie mogę. Ja już sobie dawno postanowiłem, że pójde bronić Lwowa, nawet wspominałem... pamięta ciocia? — ale ciocia na mnie krzyknęła... Więc już wołałem nie mówić więcej nic, boby ciocia nie zrozumiała i powiedziała ojcu... A ja nie mogę siedzieć w domu i słuchać — i w gazetach czytać, — że tam się biją dzieci... chłopcy, dziewczynki daleko młodsze odemnie. Ja już nie jestem takim dzieckiem, za jakie wy wszyscy w domu mnie uważacie. Ja jestem zdrow i silny, i wyglądam na 17 lat, więc takiego napewno przyjmą. Mówił mi jeden kolega, że przy-

ję, byleby się z Warszawy wydostać i jaknajbliżej Lwowa dojechać. Więc ja dziś już niedługo wyjadę. A ten list, to ja dopiero z drogi wysłę, boby mię ciocia mogła odszukać na dworcu, a jakby ciocia zaczęła płakać, to jabym tego nie zniósł. Chciałem ciocię jakoś serdeczniej pożegnać, ale nie mogłem, bo ciocia by zaraz poznała. Niech ciocia ojcu powie odemnie, żeby mię nie sprowadzał siłą, bo ja i tak nie wrócę za nic, dopóki Lwowa nie odbierzemy ukraińcom. A i potem pewnie także nie wrócę, bo do szkoły będę zaduży i musiałbym zostać w tej samej klasie, a ja już cioci nieraz mówiłem, że z mojej szkoły nic nie będzie. Niech ciocia rysunki wszystkie razem schowa, dobrze? I niech ciocia wybaczy mi, że jej zmartwienie sprawiłem. Później znowu do cioci napiszę, bo ja ciocię ogromnie kocham i napewno będzie mi bardzo tęskno. Ojca niech ciocia odemnie pożegna, i Adelcie, i Tomka. Ze Stasiem to się może gdzie spotkamy na wojnie. Bardzo ciocię kochający i przywiązany

Marek.

PS. Tego floweru od cioci Amelki nie wziąłem ze sobą, bo mi tam dadzą prawdziwy karabin, i naboje, i wszystko.”

Tak, tak... Dali mu prawdziwy karabin. O mój mocny Boże! że też on wtedy dojechał do tego Lwowa, że go nikt nie zapytał, ile naprawdę ma lat?!. Że go nikt nie odesłał do domu, do szkoły, do mnie...

Ale wtedy myślałam tylko o tem, że mu zimno, że napewno zaziębi się, że kataru dostanie, albo znowu z tem gardłem... I nie mogłam słuchać, jak wiatr o szyby tłucze, jak krople deszczu dzwonią... Zdawało mi się, że wszystek ten deszcz i śnieg pada na Marka, na nikogo w świecie, tylko na niego. I myślałam wciąż w kółko: „jak mu tam zimno biedakowi... jak mu tam zimno!...”

I prawie złość czułam do Adelki, że z Marka robi bohatera. Potrzebny to komu taki bohater, co nawet szesnastu lat jeszcze nie skończył?!. Dzieciuch, i tyle. Już tego chyba żadna ojczyzna nie wymaga, żeby dzieciaki szły na wojnę, prościutko w śmierć...

A wczoraj właśnie były Markowe urodziny. Wyciągnęłam ten dzienniczek z szuflady... O, mój Boże!..

30 marca.

Zupełnie teraz do niczego jestem. Po domu się niby krzątam, jak dawniej, na Walerkę krzyknąć po-

trafię, gdy trzeba — ale to tylko z przyzwyczajenia, z nawyku...

Codziennie sprawdzam, czy kurze pościerane, czy Walerka pod szafami wymiotła, albo narzekam, że mięso znowu zdrożało. Wzdycham, że ciężkie czasy, wydziwiam — a w myślach ramionami wzruszę i mówię sobie:

— Zdrożało? No to co? Jeszcze bardziej zdrożeje, a Teofil pieniędzy doda, i będzie obiad, jak codziennie.

Nic to mię, prawdę mówiąc, nie obchodzi. Był czas, że się martwiłam każdą szklanką stłuczoną, każdym groszem, wydanym niepotrzebnie. Złościły mnie pomysły Adelki, ta kawa poobiednia, te kosztowne, niepraktyczne meble...

A teraz—nic. Chodzę po domu, jak obca. Jakby to nie był ten sam dom, nasz dom—mój przecie także... Chodzę i patrzę, co się w nim dzieje: nibyto wszystko widzę, słyszę i wiem—ale tak, jakbym przez sen słyszała.

Naprzykład, powiada do mnie któregoś dnia Adelka:

— Co się tej Walerce stało, że cały obiad przesoliła? Gdyby miała z ćwierć wieku mniej, powiedziałabym, że się kocha... Niech jej ciocia powie, moja ciociu, żeby na przyszłość pokosztowała zupy, zanim ją na stół poda.

— Dobrze, — mówię — powiem jej; najlepiej soli z puszki usypię. Jak będzie miała mniej, to nie wrzuci tyle do garnka...

A w duchu myślę sobie:

— Gdyby nawet obiadu wcale nie było, teżby się dziura w niebie nie stała. Nikt od tego nie umarł, że zjadł za słońca pieczeń raz koło Wielkiej Nocy...

I prawie żal mi Adelci, że takimi głupstwami głowę sobie zaprzęta.

Albo znowu niedawno, kiedy się dowiedziała, że Klimaszewska umarła. Kiedyindziej spłakałabym się, bo zacna była dusza, choć trochę pyskata i lubiła ploteczki. To teraz ani jednej łzy nie uroniłam, mówiąc sobie tak:

— Stara kobieta, trzech mężów zdrowo przeżyła! Dosyć nakołatała się po ziemi. Już na świecie tak urządzone, że w każdej minucie, w każdej sekundzie ktoś umrzeć musi. Lepiej, że taki stary grat, niż młode życie czyje przepadło...

I zaraz pomyślałam sobie o Marku...

A jak tylko zacznę myśleć o Marku, to mi już każda robota z rąk leci. Siadę sobie w kącie na sofie, nie płaczę już, nie wzdycham — nawet niezawsze pacierz mówię, tylko patrzę w okno. Niebo tam za niem błękitne, albo szare, albo z chmurkami maleńkimi, co to w nich Marek baranków się dopatrywał, albo niedźwiedzi białych, albo stada łabędzi. Patrzę na

ten czubek akacji, co w zeszłym roku ledwo do połowy szyby dostawał, a teraz wyżej sięga, o, wyżej... Na wiosnę był zielony, w zimie czasem od śniegu białły, a teraz znowu zazieleni się wkrótce. Wszystko było, i jest, i będzie, tylko już Marek nigdy nie powie, że bociany wiosnę na skrzydłach przynoszą i dlatego tak równo płyną po niebie, by jej zawczasie na ziemię nie upuścić...

Czego on nie wyplatał, ten mój chłopczyzna biedny! Nieraz mię lek ogarniał, gdy słuchałam tych bredni. Trochę śmiałam się z niego, a trochę nawet groziłam:

— Jeśli ty wszystko widzisz inaczej, niż my, to jak ty się będziesz na świecie obracał, pomiędzy ludźmi? Kto cię usłucha i zrozumie?

A Marek na to:

— Jak zechcę, żeby mię zrozumieli, to namaluję obraz. Tam będzie wszystko: że na ziemi jest wiosna, i słońce, i że deszcz pada, i że kwiaty o zmroku najmocniej pachną...

Mój Boże! Żeby mu chociaż teraz kwiaty pachniały nad tą mogiłką szarą, gdzie jest taki samiutki... A on, jeżeli bał się czego, to właśnie samotności i nocy! Kiedy był małym dzieckiem, za nic nie poszedł do ciemnego pokoju. Jak go Adelka wstydyła, że widać ma nieczyste sumienie, skoro się boi ciemności, to składał ręce, trząsł się, i płakał, i szeptał mi do ucha:

— Ja mam sumienie czyste, proszę cioci! Tylko tam, w najciemniejszym kącie, stoi śmierć...

— Co też ty pleciesz, Mareczku! Skąd znowu śmierć?!

— A tak! — powtórzył z przekonaniem i aż pobladł — Tam stoi śmierć i wyśmiewa się ze mnie... Mówi, że niepotrzebnie uciekam... Bo ona wszędzie mię znajdzie, nawet w jasny dzień, nawet w słońcu, na dworze...

I znalazła go: w pełnym słońcu grudniowym, na dworcu, którego właśnie bronił, w tym obcym Lwowie, gdzie poginęło tyle dziecił... I nic się nie bał... nic! nie płakał, nie wołał, tak jak inni: „mamo! mamo!“... Może dlatego, że matki nie znał wcale?

Ale na tej kartce, którą przy nim znaleźli i którą mi kolega jego, Józio, przywiózł później, — było wyraźnie napisane, że czasami jednak się boi:

„... tylko czasami, ciociu, i tylko w nocy, bo wtedy słyszę głuchy szum wiatru i świstanie karabinowych kul, i nie wiem, z której strony śmierć przyjdzie... Czy mię chwyci za rękę, czy oplecie szyję tak mocno, że zdławi? Wtedy się trochę boję, i nie mogę zupełnie zasnąć, i czekam ranka. Ale gdy dzień zaświta, a jeszcze słońce zabłyśnie, to już jestem prawdziwym żołnierzem, i nikt na świecie nie powie, że tchórzł...”

(d. c. n.)



Kobieta w świecie i w domu

DOM AKADEMICKI

W niedzielę 13 listopada o g. 6 wieczorem w obecności p. Prezydentowej Mościckiej i Wojewody Sołtana odbyło się uroczyste poświęcenie przez Jego Magnificencję, ks. Rektora Szlągowskiego, świeżo wzniesionego Domu Akademickich, przy ul. Górnośląskiej 14.

Historja powstania tego domu jest najżywszym świadectwem świetnych rezultatów, jakie może dać zmusna i cierpliwą pracę.

Fundusze zebrano przeważnie z opłat akademickich, na ten cel przeznaczonych, częściowo zaś z kredytów państwowych. Kto chociaż w przybliżeniu znał straszliwą nędzę mieszkaniową studentek w ostatnich latach, musi doznać prawdziwej radości na myśl, że okres martyrologji uczących się w Warszawie szczęśliwie dobiegł kresu.

Narazie Spółdzielnia Akademickich ograniczała się do dwóch lokali: Wspólna 10 (2 piętra) i Żórawia 15. Była to jednak drobna wyspka na morzu potrzeb, i kilkaset studentek, zapisanych w kolejce, latami obijało progi Zarządu, zanim wreszcie udało się im dostać ciepły, jasny, względnie spokojny kąt w pokoju na 3 i na 4 przy Wspólnej, czy Żórawiej. Posuwanie się w hierarchji kooperatywnej odbywało się bardzo wolno, i tylko nieliczne, uprzywilejowane, długo ściśnięte żelazem prawem kolejki, po latach zdobyć mogły szczyt marzeń każdej akademicki: — osobny pokój.

W tych warunkach kończenie wyższych uczelni przez pozostałe za nawiasem dobrodziejstw spółdzielni dorastało do poziomu heroizmu. W porównaniu ze strasznymi warunkami pisania pracy dyplomowej w przepełnionych koszarach Blocha, lub izbach, zamieszkiwanych kątem przez 3—4, z różnych gniazd i sfer zebrane osoby — przysłówiowa dawniej studencka nędza na facjatkach i poddaszach — wydawała się luksusem.

Dziś to wszystko już szczęśliwie należy do przeszłości. Mieszkankom ślicznych, ciepłych, wygodnych jedno i dwuosobowych pokojów przy Górnośląskiej nie przysni się nawet niedola ich poprzedniczek. A spokojna, ludzka, normalnych warunkach prowadzona praca naukowa opromieni z pewnością niejednokrotnie sławą mury dźwigniętego wysiłkiem samopomocy — nowego Domu!

W. B.



Poświęcenie Domu Akademickich przy ul. Górnośląskiej

ODZNACZENIE POLKI W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Pani Walerja Lipczyńska, honorowa komisarka Związku Narodowego Polskiego na wszystkie stany Ameryki Północnej, została odznaczona przez państwo polskie złotym krzyżem zasługi za 45 lat pracy społecznej w duchu narodowo-polskim na terenie Stanów Zjednoczonych.

Uroczystość miała miejsce w Detroit. Z ramienia rządu polskiego krzyż wręczył jubilatce konsul polski pan Stanisław Kozłowski.

Pani Lipczyńska przybyła do Ameryki w 1869 r., obecnie liczy już lat 83.

Jest to drugie z kolei odznaczenie sędziwej działaczki polskiej; bowiem pani Lipczyńska w czasie ubiegłej wojny została udekorowana przez generała Hallera pamiątkowym medalem za usługi za współpracę przy organizacji armji polskiej. R.C.H

CESARZOWA ZYTA ROBI TRYKOTAŻE

Fortuna kołem się toczy. Gdy cesarzowa Zyta była jeszcze małą, nad kołyską jej nianki opowiadały zapewne bajki czarownic o królewiczu, który pokocha kiedyś małą księżniczkę, da jej dużo jasnego szczęścia, na głowę włoży koronę królewską i zaprowadzi na stopnie tronu.

Wróży te urzeczywistniły się prawie zupełnie; ale przyszło surowe życie i jednym skinieniem ręki zgasiło tęcza blaski bajki.

Dziś była władczyni Austrii nie posiada środków na utrzymanie swoich ośmiorga dzieci, postanowiła więc obecnie czerpać dochody z pracy rąk własnych.

Ex-cesarzowa Zyta dawniej jeszcze uprawiała z zamiłowaniem ręczne robotki kobiece, szczególnie zaś lubiła trykotarstwo. Obecnie zamiłowanie to staje się realnym źródłem dochodów. Była monarchini wyrabia masowo rozmaite szale, swetry, kostiumy sportowe, które są prosto rozrywane, jako produkty rąk cesarskich.

Cena tych trykotaży jest, oczywiście, bardzo wysoka. Od czegoż jednak niewyczerpany snobizm ludzki? Co za przyjemność dla córki rzeźnika paradować w szalu, lub kostjumie, sporządzonym własnoręcznie przez cesarzową!

Podobno niedawno jakiś nuworysz zapłacił byłej monarchini za szal 50 funtów szterlingów. R. C. H.

KOBIETA—LORDEM-MAJOREM MIASTA LIVERPOOLU

Wielką sensację w całej w Anglii wywołała wiadomość, że prezydentem miasta Liverpoolu na rok przyszły została mianowana kobieta. Zaszczyc ten przypadek w udziale pani Margaret Beavan. Fakt powyższy jest tembardziej godny uwagi, że w mieście tem w radzie miejskiej zasiadają przeważnie członkowie partji konserwatywnej, która, jak wiadomo, nie jest przychylna dążeniom emancypacyjnym kobiet.

Pani Beavan położyła wielkie zasługi na polu pracy społecznej, szczególnie w dziedzinie opieki nad dziećmi.

Mrs Beavan jest pierwszą kobietą na stanowisku Lorda-Majora w Anglii. R. C. H.

KRAJ, W KTÓRYM ROZWÓD JEST IGRASZKĄ

Krajem, w którym kobiety najłatwiej i najprędzej uzyskują dziś rozwód—jest Egipt. W przeciwieństwie do europejek, uskarżających się na trudności, stawiane im przy otrzymaniu rozwodu, egipcjanki oplakują gorzkimi łzami to właśnie łatwe, prawo, dzięki któremu każda, bez najmniejszej winy, może się znaleźć którego pięknego dnia bez dachu nad głową i środków do życia.

Każdy egipcjanin ma prawo rozwieść się z legalną swą małżonką dla byle jakich błahych powodów. Nie mówiąc już o tych wypadkach, gdy żona nie da mu syna (córkę się nie liczą), gdy jest chorowitą, niedołązną, lub przykrą w pożyciu—lecz wystarczy, że „pan i władca” znudził się ze swą kobietą: zbrzydła mu jej sylwetka, denerwuje go jej paplanina, dokuczyła mu jej twarz itd. itd.

Znamienne słowa:—„je te divorcel!—je te divorcel!—je te divorcel!”, czyli — „rozwodzę się z tobą, rozwodzę się, rozwodzę!”—powtórzone trzy razy z naciskiem, wobec jednego tylko świadka, wystarczają najzupełniej dla przeprowadzenia formalności rozwodowych.

Zdawać się może, że to jest nieprawdopodobieństwem, w rzeczywistości jednak, po strasznych tych dla każdej egipcjanki słowach—rozwód staje się faktem.

Kobieta musi się zabierać jaknajprędzej ze swemi fatalaszkami z domu męża i przenosić się do krewniaków, gdzie rozpocznie się dla niej żywot pełen goryczy i rozpacz.

Jej natomiast, przysługuje prawo zażądania rozwodu dopiero wówczas, gdy zdola dowieść, że mąż katuje ją niemiłosiernie i znęca się nad nią brutalnie.

Coprawa, należy jednak nadmienić, że gdy wściekły humor małżonka mija, gdy zbyt obrzydnie mu swoboda, a nowe „niewolnice” nie potrafią dogodzić mu tak, jak wygnana małżonka, pan i władca szuka okazji pogodzenia się z pierwszą żoną i namówienia jej do powrotu pod jego dach.

Dwa razy każdy egipcjanin ma prawo rozwieść się i dwa razy przyjąć z powrotem do swego domu pierwszą żonę. Lecz do trzech razy sztuka...

Za trzecim rozwodem musi przezwyciężyć nielada jakie trudności.

Dopiero wówczas może „ożenić się” ze swą pierwszą małżonką po raz trzeci... gdy wyjdzie ona zamąż za innego egipcjanina i zostanie przez nowego swego tyrana rozwiedziona.

Dziwaczne to prawo, praktykowane bardzo często wśród mas ludowych w Egipcie, powoduje, oczywiście, w stosunkach rodzinnych bezprzykładny chaos. Kobiety z ludu żyją w panicznym lęku usłyszenia z ust męża przekleństw słów: „rozwodzę się, rozwodzę i jeszcze raz rozwodzę!”

Prawo to stworzyło też pewien gatunek „darmozjadów” i „trutniów”, którzy za wysokie wynagrodzenie występują w roli fikcyjnych małżonków. w wypadku, gdy kapryśny władca, wychodząc z założenia, że pierwsza żona jest zawsze najlepsza, pragnie poślubić ją puraz trzeci, a ona musi już być małżonką drugiego.

H. S.

UCZENICA CURIE-SKŁODOWSKIEJ ODKRYŁA SZTUCZNY RAD

Dienniki paryskie doniosły, że dr. Stefanja Marazineanu dokonała odkrycia, które może mieć bardzo doniosłe znaczenie, mianowicie, sztucznego radu.

Nazwa ta nie określi zbyt ściśle istoty odkrycia, jest jednak narazie stosowana. Chodzi tu nie o zastąpienie radu czemś innym, lecz o wytworzenie radioaktywności w innych metalach — narazie w ołowiu.

Epokowe odkrycie Curie-Skłodowskiej polega, jak wiadomo, na stwierdzeniu istnienia substancji promieniotwórczej w rudzie uranu i wyeliminowaniu jej z tejże rudy. Przytem w wielotonowych masach rudy znajduje się zaledwie parę gramów radu.

Odkrycie to dokonało przewrotu w nauce o atomach i nierozkładalności pierwiastków. Promieniowanie bowiem wyjaśnić można tylko rozpadaniem się atomu, uznawanego dotychczas za nierozkładalny, promienie bowiem są wyrzuconymi w przestrzeń cząsteczkami atomu, które podczas tego procesu tracą wagę i nabywają właściwości przenikania materji, stając się jednocześnie jakby materją i energją, poczem stopniowo przemieniają się w ołów. Ołów nie świeci, nie grzeje i nie promieniuje. Na nim kończy się ten przedziwny proces przemiany.

Otóż obecnie dr. Marazineanu udało się wytworzyć promieniowanie w ołowiu, po długotrwałem poddaniu go działaniu promieni słonecznych. Te „ołowiane” promienie są wprawdzie mniej intensywne od radowych, niemniej jednak istnieją. Jest ich kilka rodzajów, z których jeden posiada właściwości, podobne promieniom Röntgena.

Odkrycie to jest tak nowe i tak mało wypróbowane, że dziś można uznać jedynie teoretyczną jego wartość. Jeżeli jednak praktyka potwierdzi teorię, to skutki mogą być olbrzymie. Wiemy, jakie znaczenie posiada rad w medycynie, a tymczasem jest go tak mało, że niezmiernie rzadko może być stosowany; jeżeli uda się wytworzyć radioaktywność w innych metalach, zagadnienie leczenia radem zostanie rozwiązane, a byłoby to przecież unicestwieniem szeregu najcięższych chorób, trapiących ludzkość.

Dr. Marazineanu jest rumunką, uczenicą Curie-Skłodowskiej, pracującą w Instytucie Curie w Paryżu, pod kierunkiem naszej wielkiej rodaczki.

N. J.

WŁADZE BELGIJSKIE STWIERDZIŁY, ŻE KOBIETA JEST SZCZĘŚCIEM DLA MĘŻCZYZNY

Do rady Brabantu wpłynął niedawno wniosek opodatkowania... kawalerów i bezdzietnych wdowców od 25 do 60 lat wieku. Wniosek ten jednak został przez wydział podatkowy odrzucony, przyczem motywacją była bardzo ciekawa — niezmiernie pochlebna dla kobiet.

Wydział podatkowy stwierdził mianowicie, iż mężczyzna, idący przez życie wspólnie z towarzyszką — żoną, jest silniejszy

i szczęśliwszy, niż kawaler. Każdy mężczyzna beżżenny godny jest pożałowania, tembardziej, że przyczyną jego decyzji pozostania samotnym muszą być ciężkie zawody, troski, lub wrodzona skłonność do melancholji, inaczej bowiem nie wybrałby sobie tak złego losu. Bardziej jeszcze nieszczęśliwym jest wdowiec, któremu żona nie pozostawiła dzieci na pociechę. Byłoby więc niemoralnie, ludzi, i tak zgnębionych losem, obarczać jeszcze dodatkowym ciężarem podatku!

N. J.

PRAWO GŁOSOWANIA DLA „PODLOTKÓW”

Jakkolwiek angielski otrzymały prawo wyborcze, było ono jednak bardzo ograniczone. Między innymi, cenzusem wieku — 30 lat. Obecnie toczy się energiczna kampanja przeciwko tym ograniczeniom, a za przyznaniem praw wyborczych kobiecie 21 letniej. Przeciwnicy tego rozszerzenia praw kobiety nazwali je „prawem podlotków”. W tych dniach wypowiedziała się w tej sprawie jedna z najstarszych bojowniczek równouprawnienia w Anglii 80-cio letnia pani Fawcett, której 80 rocznicę urodzin obchodzono niedawno b. uroczystie.

— Jakiem prawem, — mówi pani Fawcett, — ośmielacie się nazywać „podlotkiem” 21 letnią kobietę? Uwielbiana przez wszystkich anglików królowa Wiktorja miała 18 lat, gdy wstąpiła na tron, i zadziwiała starych dyplomatów bystrością swych poglądów i orientacją w polityce wszechświatowej. Joanna d'Arc liczyła tyleż, gdy uratowała Francję od zagłady. A cóż powiedzieć o fakcie, że istnieje do dziś dnia w Anglii, — nie obserwowane, wprawdzie, ale nie zniesione — prawo, pozwalające wychodzić zamąż dziewczętom 12 letnim! To nie są podlotki!

Wystąpienie pani Fawcett sprawiło duże wrażenie. Sprawa zresztą rozciągnięcia praw wyborczych na owe 21 letnie „podlotki” jest już przesądzona i wygrana. Ale sam fakt istnienia podobnej opinji rzuca charakterystyczne światło na psychologję anglików.

N. J.



Śmiała amazonka, słynna amerykańska piękność Miss Vonciel Viking, wyruszająca z przed Waszyngtońskiego Kapitolu na raid konny do Los Angeles

CZEM JEST ŻONA DLA DZIAŁACZA POLITYCZNEGO

„Będę służył krajowi bez zastrzeżeń, gdyż jestem kawalerem: tylko człowiek, nie mający rodziny, może cały swój czas i wszystkie siły poświęcić służbie publicznej”.

Temi słowy rozpoczął swoją przemowę świeżo wybrany prezes stronnictwa konserwatywnego w Kanadzie angielskiej, Sir Bedford Bennett.

Można sobie wyobrazić jakie ten — powiedzmy otwarcie, nonsens — wywołał wrażenie! Konserwatyści kanadyjscy przyszli po niewczasie do przekonania, że wybrali sobie wodza o niezbyt głębokim rozumie i niewielkim doświadczeniu politycznym. Oburzyli się przede wszystkim członkinie stronnictwa. Sprawa nabrała rozgłosu i najgorętsze protesty wypowiedziało kilka poważnych osobistości politycznych. — Przyczem sprawa nie ograniczyła się do Kanady, lecz znalazła echo i w Anglii, gdzie pomimo dosyć jeszcze poważnych uprzedzeń przeciwko działalności kobiet, jako polityków czynnych, opinia oburzyła się na takie postawienie sprawy, potępiające kobietę, jako żonę, jako towarzyszkę życia.

Najdowcipniej odpowiedziała Bennettoi posłanka, członkini Izby gmin, Mis Wilkinson. „Nic dziwnego”, pisze Mis W., „że Mr. Bennett, jako kawaler, nie ma wcale pojęcia o tem, jaką pomocą w życiu męża jest kobieta, stojąca u jego boku. Bierze ona na siebie zwykle wszystkie kłopoty materialnego życia, prowadzenie interesów, obowiązki towarzyskie. Wszystkie prawie żony czynnych polityków, posłów, leaderów stronnictw, spełniają t. zw. „czarną robotę” partyjną. Urządzają przyjęcia dla członków stronnictwa i wyborców, na które mąż zjawia się, aby przemawiać, lub poprostu, pokazać się tylko — a wszystkie męczące i zmudne przygotowania załatwiła już żona. Żona także przyjmuje dziesiątki interesantów, których mąż widzieć nie chce, lub nie ma czasu. Dom, wychowanie dzieci — wszystko to jest na głowie żony działacza, która pracuje z całym poświęceniem, często nie widując męża całymi tygodniami. Za to wszystko wybitny polityk zbiera laury uznania i sławy, podczas gdy nikt nie myśli o jego najdzielniejszej podporze moralnej: o żonie, która zwykle pomaga mu nawet we właściwej działalności, jest jego sekretarzem i „najwiewniejszym doradcą”.

Dziennik Manchester Guardian przyznaje p. Wilkins w zasadzie słusność. Twierdzi jednak, że wzamian za to, kobiety robią same przy swoich mężach karierę polityczną. Jako dowód, przytacza przykłady, ile kobiet w ostatnich latach weszło do parlamentu na miejsca swych mężów!

Jest to fakt istotnie ciekawy. Świeżo ustąpił z Izby Gmin lord Iveagh, dotychczasowy wicehrabia Elvedon, który wskutek śmierci ojca odziedziczył mandat w Izbie Panów — na miejsce jego wybrano z tego okręgu lady Iveagh — jego żonę. Tak samo wybrana została z Plymouth lady Astor — kiedy mąż jej przeszedł również do Izby lordów; pani Winttingham wybrana została posłanką na miejsce swego męża po jego śmierci, a znana artystka p. Philipson na miejsce męża, którego wybór, wskutek jakichś nieformalności, uznany został za nieważny!

Ten jednak argument „Manchester Guardian” dowodzi tylko tego, że żona polityka może z łatwością zastąpić... jego samego. Zapewne tej ewentualności obawia się p. Bennett i dlatego tak wysoko niesie sztandar swego... bezżeństwa.

N. J.

PIERWSZA DOCENTKA UNIWEKSYTECKA

Panna Melita Gerhard została docentem historii literatury w uniwersytecie w Kiel. Jest to pierwsza docentka wydziału literatury w Niemczech.

N. J.

SPRZEDAŻ ŻONY.

W obecnych czasach zdarzają się fakty kupna i sprzedaży, wręcz nieprawdopodobne. Słyszeliśmy niedawno, że pewien warszawski „spryciarz” sprzedał jakiemuś naiwnemu przybyszowi z prowincji — wagon tramwajowy. Wiemy o tem, że w polskich miastach ludzie sprzedają mieszkania, które nigdy do nich nie należały; żeby jednak ktoś sprzedał własną żonę, o tem jeszcze nie słyszeliśmy.

O takiej właśnie transakcji donoszą pisma krakowskie.

W Zdobunowie niejaki Moroz sprzedał swoją żonę maszyniście kolejowemu Szymańskiemu i otrzymał wzamian 200 rubli w złocie.

Nowonabywca należy widocznie do formalistów, gdyż zawarcie owego „interesu” zawarunkował spisaniem odpowiedniego kontraktu, co też sprzedawca uwzględnił.

Działo się to za wiedzą żywego towaru, vel „sprzedanej” żony, która, po podpisaniu kontraktu przez strony zainteresowane, przeniosła się wraz ze swymi gałgankami do mieszkania nowonabywcy.

Na powyższy temat po mieście krąży mnóstwo wersji, kumoszki mają nielada używanie, a nawet znalazł się ktoś dowcipny, kto całą tę pikantną historję podał do wiadomości publicznej, zapomocą specjalnych afiszów, napisanych odręcznie i rozlepionych na mieście.

Któż poznać może tajniki serca ludzkiego?! Możliwe jest, że pan Moroz, gdy się dorobi, to odkupi z powrotem dawną małżonkę, oczywiście, po zniżonej cenie.

R. C. H.

KOBIETA POWINNA PIELEGNOWAĆ SWĄ URODĘ

Znana pisarka francuska p. Lucie Delarue-Mardrus jest zapaloną stronniceką kobiet, pielęgnujących do późnego wieku młodość i urodę. Wydała niedawno książkę pod tyt. „Embellissez-vous”, w której utrzymuje, że poczucie estetyczne, wrodzony kobietom smak i artyzm, nakazują im starać się o utrzymanie i podniesienie urody i wdzięku. Pani Delarue porównywa kobietę do róży. Ta, która nic nie robi dla podniesienia swej urody, jest tylko... głogiem!

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Recital śpiewaczy Stanisławy Argasińskiej — Cooper w Filharmonji — Odczyt Luty Nunberg o nowej metodzie nauczania techniki fortepianowej.

Znana zaszczytnie pieśniarka Stanisława Argasińska wystąpiła tym razem z programem mało znanych i śpiewanych pieśni niemieckich. Specyficzny charakter niemieckiego „Kunstlied”, którego odrębne zupełnie od innych pieśni zabarwienie leży nie tylko w muzyce, ale i w wymowie, w akcencie, w treści i wyrazie trudnych i organicznie z pieśnią związanych słów — stanowi dziedzinę najmniej przystępną dla najlepszych nawet śpiewaków obcej narodowości, nieumiejących jednak wczuć się w treść poezji, pozornie tylko podporządkowanej muzyce, w istocie, zaś, w dramatyczności swojej i żywiole prawie scenicznym, górującej nieraz nad muzycznym dźwiękiem. Miniaturowa forma śpiewu tego wymaga nie tyle głosu, ile zrozumienia charakteru niemieckiej poezji i ekspresji w śpiewie jej słów.

Stanisława Argasińska, nieczównana wykonawczyni polskiej pieśni, z trudnego zadania wywiązała się dobrze, wypełniając swój recital programem, złożonym z pieśni Schumanna, Wolfa i Straussa, przy poklasku licznie zebranej publiczności.

Dyrekcja Emila Coopera, niepoprzedzona żadną reklamą, dała Filharmonji dwa koncerty, o bardzo dobrze dobranym i wykonanym programie, świadczącym o szerokiej skali zainteresowań i zrozumieniu krańcowo różnych stylów muzycznych — od Haydna po Goldmarka i od Wielkiej fugi Bacha, po „Ekstazę” Skriabina; sprężystość w dyrekcji, wrażliwość na odcienie dynamiczne i brzmienie orkiestry, oraz opanowanie danego utworu, występujące zawsze z tą samą wyrazistością i żywiołowością. O powodzeniu Coopera świadczyła liczna frekwencja publiczności.

Atrakcją w naszym życiu muzycznym był odczyt polki, zamieszkałej w Paryżu, Luty Nunberg, o nowej metodzie nauczania techniki fortepianowej. Pomimo, iż technika fortepianowa jest dziś problemem, dawno już rozwiązany, niemniej jednak odczyt Luty Nunberg wzbudził duże zainteresowanie w sferach muzycznych, które wypełniły salę konserwatorium. Metoda p. Nunberg opiera się na zwolnionym ruchu kinematograficznym (cinemalenti), który pozwala kontrolować rękę według wskazówek doskonałe i źle grających pianistów. W sumie ta metoda sprowadza się do fizycznego określenia, że doskonała technika fortepianowa wielkich artystów, którzy unikają w grze zbytecznych i fałszywych ruchów, wyraża się zawsze w tym samym faliście łuku,

rzecz jasna, z pewnymi odchyleniami, zależnymi od budowy rąk.

Prelekcji Luty Nunberg towarzyszyły więc na filmie pokazy gry: Artura Rubinsteina, Orłowa, Harwitza, Certata, Wandy Landowskiej, Cassadesusa, naprzód w tempie normalnym, potem zwolnionem i charakterystycznym dla różnicy rąk tych wszystkich pianistów, którzy dla pokazu gry wybrali przeważnie etiudy Chopina. Jednakże prelekcja Luty Nunberg, opracowana zresztą z wielką kulturą, znajomością rzeczy, i wypowiedziana bardzo dobrze, nie wyszła ani o jeden krok poza zakres zjawisk, pianistom ogólnie wiadomych. Tytuł „twórczyni” nowej metody na programie był przedwczesny i niewspółmierny z wartością odkrycia. Prelegentka bowiem stwierdziła fakt falistości ruchu, zależnie od oscylacji rytmicznych, i zademonstrowała publiczności, przy pomocy zwolnionego filmu, swoją obserwację, w formie różnych typów doskonałej gry, oglądanej zawsze pod kątem ruchów falistych. Tak jest istotnie, ale cóż z tego? Metoda Leszetyckiego polegała właśnie na kontrolowaniu ręki, przy zwolnionem tempie granych ćwiczeń, czy utworu, i ona to właśnie, niesiona w świat przez uczniów i uczennice sławnego pedagoga, osiągnęła fenomenalne wyniki, czego dowodem są tysiące dobrze grających pianistów, — ona to spopularyzowała ostatecznie technikę fortepianową, czyniąc z niej nieraz jedynie doskonale funkcjonujący mechanizm.

Tworzenie metody, już tylko na podstawie tej, którą dał Leszetycki, nie będzie niczem innym, jak tylko młotem, walącym w otwarte drzwi. Trzy czynniki składają się, bowiem, na postępy w grze instrumentalnej, a przedewszystkiem fortepianowej, które u każdego ucznia, o mniejszym, czy większym talencie, są mniej lub więcej rozwinięte: t. j. technika, słuch i pamięć, i każdy z tych trzech warunków można do pewnego stopnia rozwijać. Podkreślam, że tylko do pewnego stopnia. Są uczniowie o słuchu idealnym, ale bez pamięci i o słabo rozwijającej się technice; są tacy, którym mechanicznie wraza się w pamięć raz przebrany utwór, niezależnie od słuchu; są wreszcie inni, których ręce, niezależnie od dwóch innych warunków, są predestynowane do fortepianu; dopiero wszystkie trzy warunki, w jednakowej mierze wykształcone, dają w przyszłości grę wirtuozowską, w tej postaci, jaką widzieliśmy na filmie. Metoda Leszetyckiego, czuwająca nad układem ręki, nad giętkością zgięcia i spokojem ruchu ramienia i przedramienia, dała maksymalne wyniki dla techniki fortepianowej, którą można było wydobyć z przeciętnie dobrze grających tysięcy pianistów, nieciekawych zresztą i górujących raczej techniką i jej szablonem nad zrozumieniem w interpretacji utworów. Jeśli chodzi o technikę, niema w niej już nic do powiedzenia: nowa metoda musiałaby bowiem przyjąć z nową konstrukcją fortepianu.

Na przestrzeni 30 lat, wzrastająca gwałtownie liczba pianistów jest najlepszym dowodem, że poza nowym terminem, albo nowoczesnym pokazem tego, co było dotychczas — nic więcej stać się nie może.

Mimo to, odczyt Luty Nunberg wzbudził duże zainteresowanie i wywołał ożywione dyskusje na temat zajmującej prelekcji. P. L.

„Uczta Szyderców” — Umberta Giordano — libretto podług sztuki S. Benelliego.

Pięćdziesiąt lat temu weryzm był wydarzeniem artystycznym z którym z większą, niż kiedykolwiek trudnością, mogła pogodzić się publiczność i prasa. Carmen, matka nowego kierunku, którego niepowodzenie przypisało o śmierć Bizeta, z całym aparatem niskich instynktów ulicznego tłumu, wprowadzonego poraz pierwszy do akcji scenicznej, z kłótnią, bijatyką, kontrabandą i strzałami, — była zaledwo dziecinne wykreśleniem przeciw nie-tykalności sztuki, wobec silnych efektów, które wprowadzili do opery włoscy weryści, a przedewszystkiem Puccini. W każdej operze tego mistrza, który, jak nikt inny, umiał tworzyć popisowe kreacje dla śpiewaków i wydobywać programowe efekty z orkiestry, czyhał na scenie zawsze nóż, nieuniknioną była krew i śmierć. Tosca zabija ze śpiewem Scarpę, Mimi umiera na suchoty, Ma-

dame Butterfly przebija się nożem, a najokropniejszym już efektem jest śpiew tenora dramatycznego w „Fanciulla dell West”, który główną część swej partii śpiewa ze sznurem na szyi przed egzekucją. Nawet w komicznym „Gianni Schicchi” akcja zaczyna się od opłakiwania trupa na katafalku.

Ambicją włoskich werystów były efekty wyrafinowanie okrutne, którym wśladał za Puccinim hołdowali Mascagni, Leoncavallo i Giordano. Jednakże, o ile Puccini dał werystycznej scenie muzykę o niezaprzeczonych wartościach kantyleny operowej, o szerokiej frazie muzycznej i mistrzowskiej instrumentacji, o tyle inni, szczególnie Giordano, stali się jedynie epigonami tego kierunku.

Muzyka Giordana jest eklektyczna; autor „Uczty Szyderców” zna dobrze scenę operową i umie wprowadzać do niej wszystkie efekty teatralne i muzyczne, które w ostatnich dziesięciokrotności lat zyskały największe powodzenie. Mimo wszystko, brakuje tej operze bogactwa melodii, oryginalności w koncepcji i jej przeprowadzeniu, brak „Uczty Szyderców” inwencji muzycznej. Opera, napisana z całą znajomością teatru, z poczuciem efektów solowych partyj wokalnych, ze starannem opracowaniem orkiestrowem, nie narzucającem się pomysłowością w instrumentacji, — ma muzykę dostojną do tła sztuki Benelliego i jest popisem dla partyj śpiewaczych, które szczególnie upodobali sobie artyści.

Akcja rozgrywa się we Florencji wokół Ginevry, renesansowej kurtyzany, nieznającej uczucia miłości, ale skłonnej zawsze do kłamania jej silniejszemu. A zabiegają o wdzięki Ginevry: bogaty Neri, szydzący z odrzuconych rywalów — i najmściwszy z nich, ubogi poeta Gianetto, który rychło namówi Neriego do napaści na sąsiada, aby nieszczęsnego ogłosić warjatem. I znów „vendetta” Spętany Neri przysięga, że Gianetto nie uniknie śmierci. Uwolniony z więzów, zabija jej kochanka, sądząc, że ma do czynienia z Gianettem. Tymczasem żywy Gianetto staje przed nim i oznajmia mu z szyderstwem, że ofiarą pomsty padł brat Neriego — Gabriello...

„Uczta Szyderców” obejmuje krótkie cztery akty, a więc nie nuży przewlekłością. Ale główną jej atrakcją na naszej scenie jest baryton Mossakowski w roli Neriego; przepiękny głos, o aksamitnym brzmieniu i olbrzymiej skali, działa sam przez się, niezależnie od wartości muzyki, którą odtwarza, błyszczący, jak najpiękniejszy brylant, i zaćmiewa swym blaskiem wszystkie wokół pół szlachetne kamienie. Gianetta śpiewał Gruszczyński z właściwą sobie spłaszczoną intonacją dźwięku. Ginevrą była Budziszewska.

P. L.

Z WYDAWNICTW

Ukazał się w druku Nr. 9-ty ilustrowanego miesięcznika „Na Fali” i zawiera następujące utwory:

„Groby należące do całej ludzkości”. „Uroczystości pogrzebowe w Chinach” — Tadeusz Szukiewicz, „Trzy lata wśród indjan kraju ognistego”. „Eks - kucharka — handlarzem dzieł sztuki”. „Bażki” — Czesława Bezegowa, „Schronisko dla turystów w Alpach”. „Rozbitek” — Honorio Mauro, „Z dziejów reklamy”, „Amerykańskie Bajki”, — George T. Lanigon, „Zajac” — Well, „Jak pachną ludzie”, „Film a dziecko” — H. Gołogórski, „Futro” — M. Stagińska, „Księżyc w Sagłyk-su” — A. Kaell, „Życie rodzinne ptaków” — Janina Maszewska-Knappe. Kącik humorystyczny oraz dział zadań i rozrywek umysłowych.

Tekst uzupełnia przeszło 40 starannie wykonanych zdjęć i ilustracji.

Cena egzemplarza 1 zł. 50 gr. Prenumeratorki „Bluszczy” płać tylko 1 zł.

* * *

Drobnym rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnym żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia

NIE KRZYWDŹMY NASZYCH DZIECI!

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały;
Chociaż sama mija szparko—
Cios jej dłuta wiecznotrwały!

Mysł, wypowiedziana w tym czterowierszu, po-
winniby wychowawcy młodego pokolenia mieć nie-
ustannie w pamięci, gdyż wskazuje ona nietylko na
szczytne ich zadanie, ale równocześnie przypomina,
jak wielką biorą na siebie odpowiedzialność za osobo-
wość, a temsamem może i za losy całego życia powie-
rzonego ich kierownictwu przyszłego człowieka. Warun-
ki, w jakich dziecko na świat przychodzi, i staranne
pielęgnowanie małej istoty w okresie niemowlęctwa—
dotyczą przeważnie jego zdrowia i rozwoju fizycz-
nego. Wkrótce jednak spostrzegamy u maleństwa
pierwsze przejawy notowania w pamięci powtarzają-
cych się faktów i osób, poprzedzające dalszy jego roz-
wój umysłowy.

Wrażenia, odbierane przez młodzieńczy jego
umysł, znaczą się w nim głęboko, wywołują chęć
naśladowania, pobudzają wolę do współzawodnictwa
i próbowania sił własnych na dostępnych terenach.
Środowisko, w jakim dziecko wzrasta, rozmowy, jak-
ie słyszy, zachowanie się otoczenia, jego obyczaje,
dobre czy złe przyzwyczajenia — wszystko to notuje
w swej pamięci mały, a zawsze czujny obserwator,
wyciąga stąd wnioski i sam przy nadarzonej sposob-
ności zdobyte wiadomości w praktyce stosuje. To też
rzeczą starszych jest pamiętać o tem, że dusza dziec-
ka, powierzona ich pieczy, jaknajdłużej czystą pozos-
tać powinna. Przedostawać się do umysłu dziecka
powinny wrażenia, które go nie skażą przedwcześnie,
nie zachwieją wiary w doskonałość wychowawców,
nie nasuną pewnych wątpliwości na widok sprzecz-
ności, zachodzącej pomiędzy wygłaszanymi zasadami,
a czynami starszych, słowem, nie zachwieją powagi
ich autorytetu, nie poderwą dziecięcej ufności, nie
zamącą kryształowej duszy, jaka prawdziwe dzieciń-
stwo cechuje. Duszę taką starajmy się zachować dzie-
ciom naszym jaknajdłużej. Młodość, niestety, mija
szparko! nie przyspieszajmy więc jej biegu, pamiętajmy,
że z nią mija wiosna życia, ten szczęśliwy okres beztro-
skiej radości, wewnętrznego spokoju, szczytnych marzeń
i szlachetnych uniesień!

Najpiękniejsze kwiaty rozwijają się powoli, naj-
soczystsze owoce dojrzewają długo. I człowiek też
zyskuje na wartości, gdy mu długo dzieckiem być
pozwolimy. Prawdziwe dziecko: to istota, która nie
zetknie się z objawami ludzkich namietności, nie wie,
co to nałogi, podkopujące zdrowie fizyczne i moral-
ne; nie rozumie żądy zdobycia pieniędzy drogą
oszustwa, szantażu, czy zbrodni; nie wie, do jakich
podłości zdolny jest człowiek, gdy mu chodzi o zdo-
bycie władzy i wpływów, lub gdy nim żądza zmys-
łów zawładnie.

Dzieciństwo sielskie-anielskie, to skarb najwięk-
szy, skarb, który raz odebrany, nigdy już wrócić nie
może, a który przecież prędkiej, czy później utracić
trzeba. Chwila ta przyjdzie, życie samo ją przynie-
sie; niechajże przyjdzie wtedy, gdy trafi na umysł
dojrzały i ustalone zasady, zdolne do walki zwycię-

skiej z tem, co je—nieugruntowane dostatecznie—musi
skruszyć, czy obalić.

Obserwacja młodego pokolenia powojennej do-
by nasuwa obawy, że przedwcześnie zapoznaje się
ono z temi stronami życia, które właśnie większej
dojrzałości umysłowej i odporności moralnej wyma-
gają, aby bez wykoślawienia zdrowej natury poznawane
być mogły. Dzieci kilkoletnie, które dawniej bawiły
się w pokoju dzieciennym, dziś matki, przez chęć po-
pisania się niemi, wprowadzają do salonu, a goście,
z obowiązku grzeczności względem rodziców, obsy-
pują je komplementami, roztrząsają szczegóły ich
urody, chwałę elegancję stroju, unoszą się nad śmia-
łem zachowaniem się, lub dowcipem, nie myśląc o tem,
że to wszystko budzi w dzieciach próżność, przed-
wczesną kokieterję, podsyca chęć nowych sukcesów
i pochlebstw, pozbawia naturalności i prostoty, a więc
tego, co największy urok dziecka stanowi.

Nie dość na tem: ileż razy słyszymy z ust star-
szych żarty na temat objawów wzajemnej sympatji
u dzieci płci różnych i docinki, odnoszące się do naj-
niewinniejszych wyróżnień podczas zabawy! ileż razy
ktoś z gości przepowiada dziewczynkom przyszłe
sukcesy, przypisuje im kokieterję i zdolność tak zwa-
nego „zawracania głowy“ chłopcom?! Pozatem w salo-
nie, gdzie często zapomina się o obecności dzieci, lub
liczy na to, że rozmowy starszych nie zrozumieją,
objają się o ich uszy plotki, złośliwe uwagi o nieo-
becnych krewnych i znajomych, pikantne żarty i opo-
wiadania. Wszystko to przedwcześnie nasuwa dzie-
ciom myśli, obce ich naturalnemu rozwojowi, i robi im
wielką krzywdę, bo maćmi dziecienny spokój i prostotę,
każe im wstydzić się i ukrywać z objawami
uczuć, które nic zdrożnego w sobie nie mają,
wywołuje krytykę starszych, albo chęć naśladowania
ich towarzyskiej obłudy. Niemniej szkodliwie oddzia-
ływają na dzieci rozrywki, niedostosowane do ich
wielku. Niestosowne przedstawienia teatralne, czy
sensacyjne obrazy kinematograficzne, baliki po lek-
cjach tańca, urządzone dla pensjonarek z trzeciej
lub czwartej klasy i ich nieco starszych braci, czę-
sto z wyłączeniem matek nawet, spacerów wieczornych
z kolegami tychże braci — toć to rozrywki, uprawia-
ne dziś przez bardzo liczne grono młodzieży płci
obojskiej, a budzące poważne obawy o przyszłość
ich uczestników w ludziach, głębiej się zastanawiają-
cych.

Zło na tem polu szerzy się coraz bardziej, a prze-
cież zapobiec mu możnaby tak łatwo. Lekcje
tańca mogłyby wchodzić w program nauki szkolnej,
jako pewien rodzaj ćwiczeń gimnastycznych, prowa-
dzonych choćby od klasy czwartej. Wieczorki wy-
starczyłoby urządzać dla młodzieży, kończącej nauki,
i to w czasie przerwy świątecznej jedynie, aby na-
uce nie przeszkadzały. Zbytkowne stroje, obowiązują-
ce dzisiaj na wieczorkach, urządzanych dla pensjo-
narek i szóstoklasistów, sute kołacje, a niestety na-
wet obfitość różnorodnych trunków na tego rodzaju
przyjęciach, prowadzenie uczącej się młodzieży na
bale publiczne i darcingi, (boć to zdarza się także),
wszystko to dowodzi lekkomyślności rodziców, któ-
rych dzieci biorą udział w tej nieodpowiedniej dla
ich wieku zabawie. Kierownicy młodego pokolenia
zdają się zapominać o tem, że prędko przesycamy
się tem wszystkim, co pozbawione jest głębszej
treści wewnętrznej, i że dzieci ich mają przed sobą
długie lata życia, wciągu których po pracy potrzebna
im będzie rozrywka, i że jej szukać będą.

Lekka piosenka kabaretowa, dwuznaczny dowcip, balet czy operetka, doskonałą stanowiąc mogą podnieść i urozmaicić dla ludzi dojrzałych, którzy po zmęczeniu pracą, odpoczynek chcą dać myśli i umięć środki te stosować z pewną miarą. Młodzieży zbędne są zupełnie tego rodzaju zabawy. Kipiące młode życie nie tylko żadnych podnieć nie wymaga, ale wprost przeciwnie, posiada nadmiar sił, które skierować należy ku przewycięzaniu trudności, zarówno umysłowych, jak i fizycznych. Nauka, a po nauce praca fizyczna, lub zastępujące ją sporty, wycieczki piesze, potem dłuższe podróże po kraju, sprzyjające obcowaniu z przyrodą i rozmyślowaniu się w jej pięknie; uprawianie śpiewu, czy muzyki w zespołach; koncerty, odpowiednio dobrane przedstawienia teatralne i dobra książka, ten najlepszy przyjaciel człowieka w każdym okresie jego życia — toż to źródła uciech, dostępne każdemu, szlachetne i proste!

Dadzą one młodzieży stokroć więcej zadowolenia i pożytku, niż wstrząsające dramaty kinowe, przedwczesne flirty i emocje, po których osad zblazowania i sceptycyzmu na duszy zostaje, a które czasem takim wstętem i niechęcią do dalszego życia przejmują, że ucieka przed nim człowiek, ledwie przestąpiwszy próg życia, bo go nie nauczono to życie cenić i wartość jego rozumieć; bo żyć, pracować i bawić się nie umie; bo, robiąc go przedwcześnie dojrzałym, wyrządzono mu największą krzywdę! *L. Gerlachowa.*

NA MARGINESIE 5-go ZJAZDU SEKCJI KÓŁ GOSPODYŃ W CZĘSTOCHOWIE

Od pięciu lat, w pierwszą niedzielę listopada, po ukończeniu najpilniejszych robót, zjeżdżają się włościanki zgrupowane przy Sekcji Kół Gospodyń Cetr. Tow. Rolniczego w Częstochowie. Posłuchajmy



Zjazd kół gospodyń wiejskich w Częstochowie

wymowy martwych cyfr — wyłoni się z nich niejedna żywa prawda.

Na 1-szym zjeździe zanotowano obecność	75 osób.
„ 2-gim „ „ „ „	150 „
„ 3-cim „ „ „ „	400 „
„ 4-ym „ „ „ „	600 „
Na piątym, tym właśnie, co nasunął mi poniższe refleksje	2200! „

Pierwsze cyfry świadczą o skrzętnych zabiegach dokoła jakiejś mozolnie budowanej sprawy. Stopniowo, powodzenie się rozszerza, by wreszcie ostatnią, wymowną i jaskrawą liczbą zawołać głośno o triumfie ruchu oświatowo-gospodarczego kobiecego, który poraz pierwszy bodaj w Polsce przedostał się „pod strzechy“.

Jakież to był Zjazd?

Przedewszystkiem świetnie zorganizowany. Skomplikowane sprawy biletów ulgowych, rozmieszczenia, aprowizacji (pamiętny, w ciągu trzech godzin przygotowany podwieczorek!) i rozrywek — rozwiązano celująco. W zgodny akord zespolony, olbrzymi tłum został ujęty w karby przewidzianego zgóry rozkładu dni i godzin.

Po przywitalnem przemówieniu ks. prałata Nosalskiego burmistrza i wiceprezesa Centralnego Towarzystwa Rolniczego, pana Wąsowicza, szczególną uwagę zwrócił na siebie referat p. Sen. Zdanowskiej na temat Organizacji Kół Gospodyń. Cały pierwszy dzień obrad poświęcony został tym właśnie sprawom.

Następny — wypełniło nabożeństwo, pochód na grób Nieznanego Żołnierza, oraz referat p. Karczewskiej „O organizacji pracy w gospodarstwie domowym“ z uwzględnieniem naczelnych zasad Tayloryzmu. Centrum programu trzeciego dnia stanowił referat p. Restorffowej: „Kobieta - matka i obywatelka“.

Niezmiernie charakterystycznym okazał się stosunek licznie zebranych, częstokroć obarczonych dziećmi, członkiń Zjazdu do obrad. Referatów słuchano z zapartym oddechem. Po każdym wywiązywała się ożywiona dyskusja, przyczem licznie zgromadzone kobiety wiejskie wypowiadały swe poglądy szczerze i śmiało, nie szczędząc szczegółów ze swego go życia i wpływu na nie licznie zorganizowanych po wsiach Kół Gospodyń przy Okręgowych Tow. Roln.

Wzruszającym było np. opowiadanie jednej z kobiet, jak to w ich wsi postanowiono sprawić krowom gwiazdkę, zakupując większą ilość zgrzebeł „żeby było, jak w Danji“! Ciekawem również było przemówienie jednego z włościan, towarzyszących żonie na zjazd, p. Szopy. Opowiadał on zgromadzeniu o dodatnich rezultatach, osiągniętych dzięki melioracjom w gospodarstwie.

Rozjeżdżając się do domów, wieśniaczki dzieliły się wrażeniami, postanawiając samodzielnie zreferować u siebie we wsi poszczególne tematy, aby te, które zostały w domu, dowiedziały się, jak to tam było.

Poza postanowieniami dalszej pracy, po zaprzysiężeniu pilnowania ładu i porządku, uroczystem wyparciu się alkoholu, — na zjeździe zostały powzięte następujące trzy konkretne uchwały.



Szkoła gospodarcza w Julinie

1) Odwołanie się do Zjazdu Samorządu ziemskiego z prośbą o zainteresowanie sejmików poniższymi sprawami:

a) Przeznaczeniem odpowiedniej sumy dla kształcenia w wyższych szkołach higieny i gospodarstwa niezamożnych panien, znających wieś i jej potrzeby, pragnących poświęcić się pracy instruktorskiej w Okręgowych Tow. Rolniczych;

b) wyasygnowaniem potrzebnych sum na utrzymanie stałych instruktorek gospodarczych dla organizowania Kół Gospodyń wiejskich i prowadzenia kursów gospodarczych;

c) wyznaczeniem sum dla instruktorek zdrowia przy wydziale sekcji Kół Gospodyń, których zadaniem jest pouczać, jak żyć, aby się uchronić przed chorobą i chować zdrowe dzieci.

W dalszym ciągu postanowiono odwołać się do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z prośbą:

a) O bliższe badanie warunków miejscowych i niezamykanie szkół początkowych, które pożądane są w każdej wsi. Natomiast szkoła z wyższymi oddziałami może być dostępna dla starszych dzieci z kilku wsi, z wielką dla nich korzyścią. (Uchwała ta umotywowana została uciążliwą, fatalnie odbijającą się na zdrowiu małych dzieci, drogą, jaką zmuszone są odbywać dwa razy dziennie).

b) Zjazd obecny, jak wszystkie poprzednie, ponawia usilną prośbę o wprowadzenie w 6-ym i 7-ym oddziale szkoły powszechnej dla dziewcząt, nauczania gospodarstwa domowego, higieny i szycia.

Trzecia petycja, skierowana do Generalnej Dyrekcji Służby Zdrowia w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zawiera prośbę: a) o ułatwienie wsi pozyskania własnych położnych przez szkolenie w tym zawodzie kobiet wiejskich z ukończonymi 4-ema oddziałami szkoły powszechnej;

b) o urządzenie w każdym województwie kursów dla położnych przy miejscowych szpitalach, gdyż tylko wtedy będą one przystępne dla wiejskich kobiet, dopóki nie powstanie w każdym województwie szkoła położnych.

Uchwały te, wyłonione ze szczerej publicznej spowiedzi obradujących, rzucają jaskrawe światło z jednej strony na solidarne skonstatowanie istotnych nie domagań naszych wsi — z drugiej, — na głębokie wniknięcie sekcji Kół Gospodyń w zamknięty w sobie, tajemniczy, oporny żywioł, jakim dotychczas było życie kobiet wiejskich.

Imponujący wynik zjednoczenia wielotysięcznego tłumu świadczy o długiej, zmudnej, cierpliwie i uparcie złościącej drogi w kamienistym gruncie, kulturalnej akcji. Na czym więc polega ta robota, o hasłach, jakby żywcem z dziejów sienkiewiczowskiej „Purpury” wyjętych? Konkretnie rezultaty świadczą, że nie ma ona nic wspólnego z cczą frazeologią, suchem prelegentstwem i oderwanem od życia kaznodziejstwem. Schemat jej jest prosty i całkowicie w płaszczyźnie surowego, ciemnego życia wiejskiego utrzymany. Ogniskami organizacji są okręgi — stałe miejsca pobytu instruktorek. W niedziele i dni targowe przyjmuje się interesantki, w dni powszednie — jeździ się po wsiach. Nie jest to żadna groźna, ani oficjalna inspekcja gospodarcza, czy sanitarna. Raczej coś w typie działalności „siostr” amerykańskich, o których niedawno w artykule p. t. „Apel do Klubu Miotelki” pisała w „Bluszczu” p. Szpyrkówna, jako o zjawisku wysoce u nas pożądanym.

Instruktorka zwiedza chaty i doradza — nie, raczej wprowadza — cały szereg w prymitywności swej zbawiennych inowacyj: właściwe ustawienie sprzętów racjonalne użytkowanie produktów, ulepszenia kulinarne, higienę kobiecą, pielęgnowanie niemowlęcia (demonstrowanie wyprawek), estetykę wnętrza, wskazówki w zakresie sadownictwa, ogrodnictwa, hodowli...

Wizyty „radnej” są radosnym zdarzeniem wsi. Kobiety cisną się do drzwi, do okien, znoszą dzieci... Na trudnej, pełnej poświęcenia, ale opromienionej zadowoleniem z osiągniętych konkretów, drodze instruktorki, wyrasta szereg drobnych zwycięstw: prawidłowo przewinięte niemowlę, praktyczna książeczka, z szacunkiem w zgrubiałych dłoniach obracana, zorganizowana łaźnia, siedem (jakaż radosna cyfra!) przysnów, obstalowanych natychmiast po bytności we wsi u blacharza... Drobne, pożywne ziarenka w coraz pełniejszej miarce postępu.

Poza tym codziennym, pracowitym trybem działań sekcji, coraz to są organizowane t. zw. kursy lotne w rozmaitych miejscowościach — 5-cio dniowe — gospodarstwa domowego i gotowania, higieny, drobiarstwa, oraz najdłuższe — 6-cio tygodniowe — szycia. Po przeprowadzeniu korespondencji z władzami samorządowymi danej gminy, oraz upatrzeniu odpowiedniego lokalu, okrąg wysyła instruktorkę. Ciekawie przedstawia się organizacja takiego, np. 5-cio dniowego, kursu gotowania.

Od kilkunastu do kilkudziesięciu kobiet zgłasza się do instruktorki z ustaloną kwotą dwóch złotych i produktami, przyniesionymi z domu. Od 9-ej do 3-ciej odbywa się praktyczny wykład kulinarny, poczem praktykantki zasiadają do ugotowanego przez siebie obiadu. Otwiera się pole do zestawień, omawiania najlepszych przepisów i t. p. Przy sposobności porusza się sprawy estetycznego nakrycia, trzymania noża i widelca — słowem — elementarnego *savoir-vivre* u.

Jest to najlepszy moment do wymiany myśli, łagodzenia swarów rodzinnych, sąsiedzkich sporów. Cóż za okazja do poznania różnostronnej, tajemniczej — zawsze niższym lub wyższym murem od inteligenta odgródzonej — ludowej psychiki! To



Lekcja gotowania

też instruktorka, niezależnie od tego, czy prowadzi kurs gospodarczy, czy urozmaicony dyskusją, ogromnem powodzeniem cieszący się — kurs higieny kobiecej—musi być przedewszystkiem b. dobrym psychologiem: od niej bowiem zależy rozbudzenie entuzjazmu w praktykantkach, w wyniku którego zakładane są po wsiach koła, aby zrzeszone po pięć, stanowić mogły nowy okrąg.

Z głęboką radością sygnalizujemy to nieznanne prawie, szerokie pole działalności dla dziewcząt. Jako zasadnicze przygotowanie, wymagane jest świadectwo ukończenia wyższej, lub średniej szkoły gospodarczej. Dla otrzymania jednak posady instruktorskiej kandydatka musi przeprowadzić, jako praktykantka, kilkanaście kursów lotnych, lub 10-miesięczny kurs drobiowy w Julinie pod Warszawą (dar p. H. Paderewskiej). Kurs rozpoczyna się 1-go lutego, a koszt całkowitego utrzymania i nauki wynosi zaledwie 80 zł. miesięcznie.

Posady instruktorek należą do b. dobrych. Wynagrodzenie waha się od 200 — 400 zł. miesięcznie, plus mieszkanie. Jest to jednak rodzaj pracy, do którego, poprostu, trzeba się —urodzić. Żadna praktyka, ani gorliwe mobilizowanie dobrych chęci, nie zastąpi złożonej na samym dnie serca iskry — już nie tylko Bożej, ale i ludzkiej — w najlepszym, najszerszym znaczeniu tego słowa.

Wanda Borudzka.

PIELĘGNACJA RĄK I NÓG

(dok.)

Mycie nóg jest konieczne codziennie, ze względu na to, że nogi brudzą się więcej od rąk, bo pada na nie kurz z ulicy, pryska błoto, pozatem nogi pocą się, ulegają odparzeniom i nagniotkom.

Noga powinna być odpowiednio pielęgnowana od wczesnego dzieciństwa, by nieodpowiedniemu obuwiem nie dopuścić do zeszpecenia nóg.

Dzieciakom trzeba wybierać buciki wygodne, osobno dopasowane do nogi prawej i lewej. Kształt bucika powinien być szeroki, by nie ścisnął nóżki w palcach. O ile możliwości przyzwyczajając dzieci do chodzenia boso (albo w sandałkach z podeszewką). Bucik musi być dopasowany do nogi, a nie noga do bucika.

Te same zasady powinny być przestrzegane przy kupowaniu bucików dla dorosłych. Należy unikać ciasnego obuwia, które przyczynia się do deformacji stopy, a obecnie pod względem estetycznym nie daje żadnych sukcesów. W obecnym czasie nie zwraca się zbyt wiele uwagi na wielkość stopy, a raczej na piękną i harmonijną całość. Obecna moda idzie w duchu higieny, gdyż do codziennego użytku przeznaczone są buciki wygodne na niskich obcasach. Tylko od czasu do czasu, ulegając konieczności, powinna eleganczka kobieta wkładać bucik na wysokim obcasie. Jak najczęściej zaś, zwłaszcza w lecie, dobrze jest starać się chodzić boso (lub w sandałkach).

Dla uzyskania pięknego kształtu nóg, należy jedynie uzbroidzić się w cierpliwość i wytrwałość. W tym celu, jako najlepszy środek polecić można umiejętny masaż, podany przy ćwiczeniach gimnastycznych. Naturalnie, w każdym poszczególnym wypadku należy upewnić się, czy masaż może być zastosowany bez szkody dla zdrowia, t. j. czy niema przeciwwskazań do masażów w postaci żyłaków, stanów zapalnych, lub innych schorzeń. Po kilkutygodniowym systematycznym miśczeniu, efekt osiąga się bardzo dobry, dla którego stwierdzenia najlepiej jest co tydzień mierzyć sobie obwód nogi w najgrubszym miejscu. Przy obchudzaniu nóg posługiwać się można kuracją parafinową, jednak trzeba pamiętać i stosować stale masaż, gdyż noga po parafinowym obchudzaniu nanowo zgrubieje, o ile nie będzie odpowiednio pielęgnowana.

Jednym z najczęstszych defektów jest nadmierne uwłosienie. Szpeci ono bardzo najpiękniejszą nie raz nóżkę. Do zwalczania tego defektu mamy dużo środków, ale żaden nie jest idealny. Wszelkie depilatory działają tylko chwilowo, elektroliza jest bardzo uciążliwa na większych przestrzeniach. Najlepiej więc golić nogi raz na tydzień, zmywać je co drugi dzień wodą utlenioną i od czasu do czasu wycierać zwykajnym pumeksem.

Również częstem zeszpeceniem kończyn dolnych jest gęsia skórka. Polega to na powstawaniu drobnych, suchych rogowych guzków dookoła włosów, nie jest zaraźliwe i nie daje żadnych przykrych objawów, w postaci przykrego swędzenia.

Dolegliwość ta najczęściej występuje na zewnętrznej powierzchni rąk i nóg.

Leczenie polega na częstych kąpielach w gorącej wodzie, zmywaniu szarem mydłem, lub pumeksem. W wypadkach uporczywych stosuje się środki złuszczone, ale pod kierunkiem lekarza. W ostatnich

Każda matka i każda wychowawczyni musi nabyć jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo p. t.

„WZORY OZDÓB CHOINKOWYCH”

84 ozdoby na choinkę w naturalnych kolorach z dokładnymi objaśnieniami i sposobem wykonania.

CENA 7 zł. — z przesyłką poleconą 7 zł. 60 gr.
Dla naszych prenumeratorów 5 zł.
z przesyłką poleconą 5 zł. 60 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz”, Krak. Przedm. 99 po przesłaniu należności znaczkami pocztowymi, lub na konto czekowe P. K. O. Nr 13.555.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.

czasach bardzo dobre rezultaty daje światłolecznictwo. Również spotykaną dolegliwością jest wrastanie paznokci, które należy leczyć chirurgicznie, a przeciwdziałać wytworzeniu się przez noszenie wygodnego obuwia.

Tego rodzaju dolegliwość, jak pocenie się nóg, połączone zwłaszcza z przykrym zapachem, usuwać należy przez częste mycie (2 do 3 razy dziennie), oraz przez używanie środków w postaci maści i pendzliowań środkami dezynfekcyjnymi, np. roztworem formaliny 5%.

Jeśli noga będzie pielęgnowana od dzieciństwa, stanie się ona zdrową i silną, a przytem przybierze piękny i estetyczny kształt.

Dr. J. Świąłska.



KŁOPOTY TOWARZYSKIE

Często otrzymuję zapytania od moich czytelniczek, dotyczące zwyczajów światowych, a ostatnio dostałam list od „niedoświadczonej“, która zapytuje, jak ma poradzić sobie na większym zebraniu mało doświadczonej pani domu z przedstawianiem gości. Ponieważ jest to delikatna materja, niejedną z pań, a nawet i panów domu często wprowadzająca w kłopot, myślę, że bliższe wiadomości, dotyczące tej, na pozór tak prostej, formy towarzyskiej, zainteresują moje czytelniczki. Prezentowanie, czyli przedstawianie wzajemne spotykających się poraz pierwszy osób, podlega przepisom grzeczności i często musi być tak subtelne, że tylko osoby, obdarzone wrodzonym taktem towarzyskim, lub bardzo dobrze wychowane, obracające się w wykwintnych sferach, potrafią dać sobie z niem radę ze swobodą, znamionującą obycie. Tu musimy zastanowić się nad określeniem: „dobre wychowanie“. Tak jak w literaturze i sztukach pięknych są nieśmiertelne dzieła klasyków, po wsze czasy będące pierwowzorami dla innych pokoleń — tak i dobre wychowanie ma swoje podstawowe zasady, od których, mimo zmian czasów, ludzi i wpływów działających, nikomu we współżyciu z innymi nie wolno odstąpić. Tak jak w sądzie nie można tłumaczyć się nieznajomością prawa, tak w życiu nie wolno nie znać niezbędnych przepisów obcowania z ludźmi.

Człowiek dobrze wychowany oddaje każdemu to, co mu się należy: uprzejmy i grzeczny bez przesady dla wszystkich, umie zachować niezbędny odcień, znamionujący należyty szacunek; odznacza się naturalnością, spokojem, równowagą. Ani zarozumiały, ani uniżony, posiada szlachetną dumę bez pychy, godność osobistą bez wyniosłości. Chętny do oddania przysługi drugiemu, nie szuka w tem ani chluby, ani zysku; szanuje cudze przekonania i zasady, swoich nikomu nie narzucając. Nie sprzecza się nigdy, ale spokojnie broni swego zdania, mówi głosem umiarkowanym, ani za cicho, ani za głośno, nigdy nie unosi się i nie przerywa nikomu. Nie popisuje się swym wykształceniem, majątkiem, znajomością świata, podróży etc. W rozmowie stosuje się do umiastowego poziomu towarzystwa, w jakim się znalazł — unika złośliwych przycinków i stara się nie obrazić

nikogo. Obejście jego jest pełne godności, a nie wymuszone, swobodne, a przyzwoite, rozmowa zajmująca i naturalna. Grzeczny jednakowo dla wszystkich, specjalnie nie wyróżnia nikogo; ubiera się skromnie, ale starannie i gustownie, unika modnych ekscentryczności, narażających na śmieszność. Nikogo nie lekceważy i nie obmawia, w sądzie o ludziach jest ostrożny i wyrozumiały, plotek nie powtarza i strzeże się ich, jak ognia. Nie mówi o sobie, ani o swoich interesach; — jeżeli jest bogaty, nikomu nie imponuje swoim majątkiem, jeżeli biedny — nie opowiada o swoim niedostatku.

Jest słowny, punktualny, nie zapomina o danych obietnicach i zawsze robi to, do czego się zobowiąże; nie próżny i nie zarozumiały, ale znający swoją wartość, nie poniża siebie, ale i nie lekceważy drugich.

Żarty przyjmuje za dobrą monetę; nigdy nie przypuszcza, żeby kto miał zamiar obrazić go. Szanując drugich, przez innych sam jest szanowany. Dyskretny i delikatny, nie wdiera się w cudze tajemnice, nie zdobywa gwałtem zaufania i nigdy nie zdradza tego, co mu powierzono, albo czego dowiedział się przypadkiem. Nikomu nie robi kłopotu swoją osobą, a gdziekolwiek się znajdzie, umie zastosować się do miejscowych warunków i zwyczajów.

Jeżeli znajdzie się na zebraniu prywatnem, gdzie wszyscy znać się powinni, umie dać sobie radę z przedstawieniem siebie, lub drugich. Są, bowiem dwa rodzaje prezentacji: jeden, że tak powiem, powierzchowny, jedynie dla formy i zastosowania się do wymagań towarzyskich, zasadzający się na pobieżnem wymienieniu nazwiska osób przedstawianych sobie; drugi — bardziej serjo, z dodaniem kilku uprzejmych wyrazów, objaśniających osoby, dotąd, niewiedzące z kim mają do czynienia, dający im możliwość wejścia w swobodną rozmowę.

Najtrudniejsza do rozwiązania kwestja we wzajemnych prezentacjach jest: kto komu ma być przedstawiony? Odpowiedź znajdziemy w regule bez wyjątku: — młodszy starszemu. — Naturalnie, nie mówię tu o naczelnym, wyjątkowym stanowiskach dygnitarzy, którym wszyscy bez wyjątku, znalazłszy się w odpowiednich okolicznościach, przedstawić się są obowiązani. Starszeństwo nie dotyczy wieku jedynie, pod jego miano podciągamy również stanowisko społeczne, zasługi, stan duchowny, majątek etc... cała trudność leży w subtelnej wyczuciu tych różnic.

Dla ułatwienia, nadmienię, że: jeśli chodzi o mężczyznę i kobietę — ta ostatnia zawsze ma prawo starszeństwa, i przedstawiając starszego nawet mężczyznę, w pierw wymienia się jego nazwisko, następnie jej. Jeżeli w grę wchodzi dwie kobiety, z których jedna jest zamężna, pannę przedstawia się mężatce; między dwiema pannami, lub dwiema mężatkami w równym mniej więcej wieku, położenie socjalne stanowić będzie o starszeństwie. Kiedy chodzi o dwóch mężczyzn, młodszego przedstawia się starszemu, bez względu na to, czy jest żonaty, czy kawaler. Jeżeli stanowisko, majątek, wiek dwóch panów są prawie równe, przedstawia się tego, który później przyszedł.

W towarzystwie dobranem, między osobami jednego mniej więcej środowiska, najpewniejszym sposobem nieuchylenia nikomu, jest przedstawiać osoby, później przybywające, zebranemu już towarzystwu.

Na zebraniach prywatnych wszyscy powinni się sobie przedstawiać; na publicznych — tylko ci, którzy chcą się ze sobą zapoznać. Na publicznych zabawach

tanecznych młodzi ludzie, pragnący przetańczyć z którą z pań, proszą wspólną znajomą, lub dobrego znajomego damy o przedstawienie ich — w prywatnym salonie przedstawiają się wszyscy wszystkim, prosząc o to gospodynię lub gospodarza.

Przedstawiony kobiecie starszej, czy młodej mężczyzna nie podaje jej ręki, tylko składa ukłon. J. S.



NASZE BOGACTWO RYBNE

Mięso stale drożeje i staje się coraz rzadsze na stołach pracującej inteligencji. Wiele osób nie jada go wcale, lub tylko w bardzo ograniczonej ilości, stosując się do przepisów lekarzy, — tymczasem, dzięki niezbyt urozmaiconej produkcji jarzyn i ich drożźnie, zastępujemy je prawie wyłącznie daniami mącznymi. Zapominamy zupełnie o rybach, które dotąd większość naszych rodaków uważa za przedmiot zbytku, dania od przyjęć, od gości, albo jako przykrą konieczność dni postnych. Od czasu, jak hodowla karpia potężnie się rozrosła, i ryby te o połowę w cenie staniały, mogą, a nawet powinny one znaleźć miejsce w codziennych naszych jadłospisach. Za karpiami poszły szczupaki i liny, karasie i okonie, że już wszelkie ościaste płotki i jeszcze ościatsze jazie i leszcze pozostawimy wyznawcom Starego Testamentu. Ogromny przypływ sandaczy z Rosji, przychodzących stamtąd w stanie mrożonym, bardzo się przyczynia do zniżenia cen ryby, gdyż pomimo dalekiej drogi i cła wwozowego, są one znacznie tańsze od naszych jeziorowych sandaczy. Tańsze i nic nie gorsze. Nie należy bać się ryby mrożonej, o ile w chwili zamrożenia była ona zupełnie świeża, a w Rosji zamrażają zwykle ryby jeszcze żywe, bezpośrednio po wydobyciu ich z wody; są one równie smaczne, jak ryby niemrożone. Świeżość ich łatwo poznać: oko powinno być pełne i wypukłe, ryba sztywna i gładka, bez najmniejszych zagłębień, ani dołków.

W stolicy handel rybami już się polepszył znacznie ostatnimi laty: obok specjalnych sklepów na rynkach i w halach targowych, powstały specjalne sklepy rybne w śródmieściu. Wszystko to byłoby dobre, gdyby nie to, że ryby są sprzedawane i w rozmaitych innych sklepach, i często służąca, posłana po ser, lub po owoce, przynosi takowe z mocnym zapachem ryby, a zapytana o przyczynę tego dziwnego zjawiska, nie umie go wytłumaczyć. Otóż sama widziałam, jak w owocarni, lub sklepie z produktami wiejskimi stoją całe kosze ryb rzecznych, zimą nawet morskich, jeszcze bardziej charakterystycznie aromatycznych. Stoją one najczęściej u samych drzwi, nawet na brzegu chodnika. Subjekt, lub panna sklepowa bierze je rękami, waży, zawija i bezpośrednio potem, nie myjąc nawet rąk, conajwyżej wytarłszy je o wątpliwą czystość fartuch, — kraje ser, lub wędlinę, nakłada w torbę gruszek, lub biszkopty. Jeśli jest wciąż mowa o tem, aby zabronić sprzedaży ulicznej owoców inaczej, jak w pokrytych muslinem, lub nawet szkłem koszach; jeśli wymagamy, aby w cukierniach ciastka były nakładane tylko szczypcami; jeśli nawet nie po-

zwalają w jednym i tym samym sklepie sprzedaży mięsa i jarzyn, gdyż te ostatnie są uważane za produkt nie dosyć czysty, często zwalany ziemią, — jak nazwać taką nadzwyczajną niedbałość?

Rybam, oczywiście, sąsiedztwo sera, ani bułek nie zaszkodzi, gdyż będą one kilkakrotnie myte przed użyciem, ale produkty, które się spożywa bezpośrednio po kupieniu, nabierają nieprzyjemnej woni. Nie sądzę też, aby sąsiedztwo chodnika pomagało bardzo rybam. Wszędzie zagranicą, a nawet w dawnej, przedwojennej, zawsze pomawianej o dzikość i brak kultury Rosji, handel rybami był ściśle oddzielony od handlu innymi produktami spożywczymi. Odbiwał się on nie tylko w innych sklepach, lecz nawet w innych halach. Jeśli czasem w handlach delikatesów sprzedawano jakieś zagraniczne ryby: solki, turboty, langusty, homary, — to zawsze w specjalnym oddziale sklepu i z zupełnie oddzielną obsługą. Przypuszczam moje czytelniczki, że pociągnięta niezwykle nieapetycznym widokiem rozmiękłych ryb, leżących w brudnym koszu na brzegu chodnika, odbiegłam od zamierzonego tematu.

Oprócz ryb z wód słodkich, od czasu, gdy mamy własny brzeg morski, rozporządzamy ogromnymi ilościami ryb z tego morza, ryb przeważnie tak tanich, że najbiedniejsza ludność żywić się niemi będzie mogła. Jak dotąd, niestety, otrzymujemy dorsze i śledzie świeże, flądry i sielawki, które są właściwie też odmianą śledzi, zimą tylko, w stanie mrożonym. Słyszałam jednak, że zarząd kolei państwowych ma wprowadzić właśnie w pociągach, idących z Pomorza, udoskonalone wagony-chłodnie, które umożliwią przewóz tych ryb przez rok cały, nie wyłączając miesięcy letnich. Warszawa i okolice uskarżać się nie mogą: są dobrze w ryby zaopatrzone. Gorzej jest na prowincji. Nawet w dużych miastach ryb dostać można raz na tydzień, w dzień targowy, lub też w piątek, bo tego dnia żydzi ryby na szabas zakupują. Tutaj jest bardzo dużo do zrobienia. Tyle ludzi uskarża się na brak roboty. Jestem najmocniej przekonana, że otworenie chociażby niedużego, na początek, sklepu z rybami w każdym większym mieście prowincjonalnem byłoby nadzwyczajnym zyskowym interesem. Nawet filje większych handli rybnych stołecznych mogłyby takie interesy zapoczątkować, albo też, nie chcąc same robić nowych inwestycji, czy rozpraszać swojej pracy, powinnyby dopomóc takim przedsiębiorcom, ewentualnie swoim byłym pracownikom, udzieleniem towaru na kredyt, wskazówkami i ttp. Przecież to nie tylko o sam handel rybami chodzi. Chodzi też o popieranie przemysłu rybnego, hodowli ryb — karasi i karpia, i połowu ryb w jeziorach, rzekach i na naszym morskiem wybrzeżu. Chodzi o dostarczenie ludności taniego, smacznego i zdrowego pożywienia, któremby można było zastąpić coraz bardziej niedostępne mięso. Jeszcze przed paru laty, kiedy w Warszawie ukazały się pierwsze dorsze, twierdzono, że są one niesmaczne, że mają zapach morskizny, a dzisiaj je w przeróżne sposoby przyrządzają panie i kucharki, — są nawet osoby, które je wołają od ryb jeziorowych. Toż samo było ze śledziami świeżymi, które coraz bardziej zyskują prawo obywatelstwa. Gdyby na początek, chociaż w porze zimowej, w czasie mrozów, zacząć wysyłać większe partje tych bardzo tanich i bardzo pożywnych ryb na prowincję, możeby i tam nauczono się je jeść i cenić — i możeby, co jest też nie do pogardzenia, trochę bezrobotnych przy tym handlu pracę znalazło.

Pani Elżbieta.



DROBNE CIASTKA DO HERBATY

Na prowincji i na wsi, gdzie trudno o świeże herbatniki, a czas samej pani i służącej jest mniej przeciążony różnymi zajęciami i obowiązkami, niż w stolicy, można doskonale przy pewnej pomysłowości zrobić kilka, lub kilkanaście gatunków drobnych ciastek i ułożyć z nich śliczne tace, a nawet piramidy. Dziesiątek takich łatwych i niekosztownych ciastek tutaj podaję:

ANYŻOWE KULBACZKI

Dwadzieścia deka cukru tłuczonego utrzeć z dwoma całymi jajami, dwudziestu deka mąki pszennej i garstką anyżu. Na blasze, posmarowanej woskiem, układać cienkie placuszki, upiec w wolnym piecu. Skoro się lekko zrumienia, dopóki jeszcze gorące, zgiąć naokoło cienkiego wałka.

MAKARONIKI

Dwadzieścia deka migdałów słodkich i kilkanaście sztuk gorzkich oczyścić po oparzeniu z łupin i podsuszyć nieco w letnim piecu. Przepuścić je przez maszynkę, wymieszać doskonale z 20 deka cukru tłuczonego, lub pudru (nigdy kryształ). Trzy białka ubić na sztywną pianę, wymieszać prędko z migdałami. Z tej masy układać okrągłe, owalne i podługne malusie ciasteczka na woskowanym papierze. Na jednych położyć po pasku smażonej skórki pomarańczowej, na drugich—po kawałku włoskiego orzecha, jeszcze na innych—po pół niedużego migdała. Upiec wszystkie razem w letnim piecu. Po upieczeniu, potrzymać jeszcze w letnim piecu, aby dobrze podeschły.

CIASTKA KRUCHE

Jedno duże jajko, 125 grm. cukru, 100 masła, 250 grm. mąki, na koniec noża sody, łyżka śmietany kwaśnej, skórka starta z pół cytryny i sok z tej pół cytryny. Wszystko to zagnieść bardzo prędko na gładkie ciasto, rozwałkować cieniuchno, wykrajając kieliszkiem małe ciastka, posmarować żółtkiem. Połowę posypać makiem, drugą połowę drobno usiekaniem migdałami i upiec w średnio gorącym piecu.

Zamiast posypowania makiem, lub migdałami, możemy te ciastka posypać tylko grubym kryształem, po upieczeniu posmarować połowę z nich owocową marmeladą i poskładać po dwa razem.

PLACUSZKI CZEKOLADOWE

Dziesięć deka cukru utrzeć do białości z dwoma żółtkami, dodać garstkę utłuczonych drobno migdałów, 4 łyżki tartej czekolady, dziesięć deka mąki pszennej, zmieszać wszystko razem. Dodać cztery białka, ubite na sztywną pianę. Na wysmarowanym masłem lub woskiem papierze, położonym na blasze, układać małe placuszki, rozmiaru dwuzłotówki srebrnej, i upiec w niezbyt gorącym piecu. Jeśli mamy lukier czekoladowy, lub jaki inny, możemy część tych ciastek posklejać po dwa tym lukrem. Część też można przełożyć marmeladą owocową, lub zaparzanym kremem i też poskładać po dwa.

PALUSZKI KRUCHE

Dziesięć deka masła i tyleż śmietany kwaśnej, kilka gorzkich migdałów utłuczonych, filiżanka cukru i tyle mąki, aby można było zagnieść ciasto. Przykryć je miską, wynieść na godzin parę na chłód. Znowu wyrobić, formować długie, cienkie wałeczki, krajając je na dziesięciocentymetrowe kawałki, ułożyć na blasze, posypanej mąką, posmarować jajkiem. Część tych paluszków posypać makiem, część—anyżkiem, część—grubym kryształem i upiec w miernie gorącym piecu.

CIASTKA RÓŻNE Z LISTKOWEGO CIASTA

Z pół kilo mąki i dwudziestu deka masła, kieliszka spirytusu i jednego żółtka—zrobić ciasto listkowe francuskie, według któregośkolwiek z przepisów, podawanych niejednokrotnie przezemnie w „Bluszczu”. Wałkować je przynajmniej cztery razy, aby listki były bardzo delikatne. Czwartą część tego ciasta rozwałkować cienko i pokrajać w równe pięciocentymetrowe kwadraciki; na każdym położyć po jagódce wiśni lub malin, osączonych z syropu, złożyć w trójkąt, lekko ściskając brzegi, aby się skleily, a nie rozpląszczyły, i ułożyć na blasze. Następną część po rozwałkowaniu powykrawać kieliszkiem w krążki; z połowy tych krążków wyjąć jeszcze mniejszym kieliszkiem środką, kółka położyć na całe krążki, obok nich kawałki wycięte i też ułożyć na blasze. Jeszcze część ciasta rozwałkować i powycinać foremką w gwiazdy, lub półksiężycy, i też ułożyć na blasze. Nakoniec pozostałą część połączyć z obrzynkami, rozwałkować, jak papier, pokrajać w długie pasy, te znowu podzielić na części i też ułożyć na blachę. Wszystkie ciastka posmarować jajkiem, rozbitym z łyżką mleka, półksiężycy posypać migdałami, grubo posiekanymi, cienkie pasy grubą solą, zmieszaną z kminkiem. Piec ciastka bardzo krótko w bardzo gorącym piecu: jest to warunek konieczny, aby wyrosły. W ciastkach okrągłych, po upieczeniu, środką przycisnąć małym palcem, aby pogłębić w nich dołki, napęlić kremem śmietankowym, lub zaparzanym, i przykryć małymi, wyciętymi z nich środeczkami.

Pani Elżbieta.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH
KOSMETYCE LECZNICZEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7.
KRUCZA 31, M. 3.

DOBRE RADY

Nie trzeba odkładać do jutra naprawy uszkodzonej bielizny lub ubrania: małeńka narazie dziurka wkrótce stanie się wielką, często niemożliwą do naprawienia.

* * *

Schodząc do sklepionej ciemnej piwnicy, trzeba brać ze sobą świecę zapaloną—jeśli światło wsunięte zgaśnie, jest to dowód, że powietrze zepsute i człowiek oddychać niem nie może.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu”, zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Pani o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani Z. Z. Maków. Wzór na poduszkę wysłaliśmy — nauka liworyzacji umieszczona była w numerze 9 „Bluszczu” w roku bieżącym. Jeżeli go Sz. Pani nie ma, nadesłamy chętnie, po otrzymaniu należności za numer w znaczkach pocztowych.

Pani Z. H. w Mejszagole. Proszek Oetkera, ogólnie używany, bynajmniej nie jest szkodliwy, przeciwnie: dobrze zastosowany, oddaje duże usługi w gospodarstwie kuchennym.

Małopolance. Próbką materiału na portjery jest bardzo ładna. Podbicia materiał ten nie potrzebuje żadnego; zakończyć brzegi trzeba wąską torsadką, tego samego koloru; do tego materiału najlepiej nadaje się aplikacja. Po wycięciu motywów, składających się na rysunek, trzeba je przylepić klejem fotograficznym, jeżeli duże, a przyfastrygiwać jedynie, jeżeli drobne. Jedne i drugie przydziierać rzadko odpowiednim kolorem włóczki i wykończyć środki i żyłki odpowiednimi kolorami, naturalnie, jeżeli deseń składa się z kwiatów. Haft Richelieu najładniej wygląda na płótnie specjalnem do haftu, albo na batuscie.

Pani M. R. Kuchajów. Storę szydełkową wykonać można z nici lnianych, albo z „coton perlé”, bawełna kordonkowa na kłębках D. M. C. Nr. 8 będzie najwłaściwsza; szydełko stalowe trzeba dobrać do bawełny.

Pani L. V. Katowice. Żądany adres jest: Confédération Suisse Morges—Rion Bosson—państwo P. mieszkają, bowiem, stał w Szwajcarii, mając tam swoją śliczną posiadłość Rion Bosson koło Morges. Kilimy, gobeliny, plusze czyści się zapomocą benzyny. Sposób dokładny czyszczenia podaliśmy w numerze 45 „Bluszczu”.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Jeśli chodzi o potomstwo, to tylko jaknajczęstsza porada lekarza chorób kobiecych może rozstrzygnąć sprawę.

Czy na reumatyzm pomogą kąpiele, decydować może tylko lekarz ordynujący.

Jeśli chodzi o zachowanie sylwetki, przeczytać radzimy w „Kulturze Ciała” artykuł Dr. J. Świtalskiej: „Jak zachować smukłą postać” (wyd. „Bluszczu”).

Tylko stosowaniem odpowiedniego trybu życia, oraz odpowiedniego odżywiania, można uzyskać zgrabną postać.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących: palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dziecinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Jak się robi kapelusze“

DOKŁADNA NAUKA ROBIENIA LETNICH I ZIMOWYCH KAPELUSZY

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”. Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Potrawy wigilijne“

PRZEPISY I RADY, JAK TANIM KOSZTEM URZĄDZIĆ ŚWIĘTA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”. Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8. tel. 244-18.